

# WIDNOKRAĆ

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ  
Z „NOWINAMI  
RZESZOWSKIMI”  
Nr 5 (278)  
ROK VII  
29 I 1967 r.

Edward Wisz

## Z KART NIEDAWNEJ HISTORII

# TRUDNE LATA

Szef poczęstował ich papierosami. — Zapalcie, towarzysze. Tytuł podi, ale lepszy od samosiejki. No, bierzcie, nie krepujcie się — zachęcał. — Obyście tylko wrócili stamtąd zdrowi i cali, tego wam z całego serca życzę. Czy są jeszcze jakieś pytania?

Podniósł się z krzesła Albin Kędzierski, podciągając w górę poły zbyt obszernego wojskowego płaszczka.

— Słucham was.

— W jaki sposób będziemy się kontaktować z Wojewódzkim Urzędem?

— Otóż to — szef zapalił kolejnego papierosa. — Sprawa jest niezwykle skomplikowana. W każdym bądź razie łączność między oddziałem a Wojewódzkim Urzędem musimy nawiązać. O tym później. Powinny jednak więcej liczyć na własne siły i na pomoc mieszkańców. O jedno was tylko proszę: szanujcie broń, oszczędzajcie amunicję. Niestety, nowych zimowych płaszczów nie otrzymaliśmy — dodał spoglądając na ich wytarte i poplamione szyniele, waciaki i kurtki, w których błąd jeszcze Niemców w partyzantce w lasach kieleckich, krakowskich i rzeszowskich. — Jak tylko przyjdzie transport, trochę ciepłej odzieży wam podrzucimy.

....Kończyła się wojna przeciwko hitleryzmowi, ale równocześnie, na naszym terenie, toczyła się wojna bez frontu i z frontem za każdym niemal domem, płotem i krzewem. Codziennie toczyliśmy potyczki i boje z bandami UPA, w których nie lada rolę odgrywali SS-mani, codziennie musieliśmy zwalczać terrorystów spod znaku WIN i NSZ....

(Ze wspomnień generała Franciszka Książarczyka, pierwszego komendanta wojewódzkiego MO w Rzeszowie).

Zima na przełomie 1944/1945 roku zaczęła się wcześniej i już początkiem grudnia słupek rtęci spadł do minus 15 stopni C. Nie przetarte szlaki komunikacyjne pokryła grubą warstwą śniegu.

Płaszcz przysłano do Rzeszowa dopiero z końcem grudnia, kiedy trzynastoosobowa grupa funkcjonariuszy rzeszowskiego Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa, dowodzona przez por. Ludwika Bojanowskiego już od kilku tygodni przebywała w rejonie Borku Nowego. Ludzie marzli w drelichowych, zniszczonych do cna letnich mundurkach.

Wojna jeszcze się nie skończyła. Niemcy utrzymywali się na linii Wisły. Na wyzwolonych, ale zniszczonych terenach społeczeństwo stało do odbudowy i budowy nowego życia. Budowaliśmy je w ciężkim trudzie, w zmaganiach nie tylko z hitlerowcami, ale również w śmiertelnej walce z wrogiem wewnętrznym — rodzimą reakcją.

Od skrytobójczych kul ginęli członkowie PPR, radykalni działacze chłopscy, ludzie, którzy odważyli się sięgnąć po pańską ziemię, żołnierze WP, organów Bezpieczeństwa i Milicji, bezpartyjni. Nie trzeba było nawet być komunistą, żeby w oczach zbankrutowanej garstki oredowników starego systemu, uchodzić za... niebezpiecznego wroga. Dla reakcji wrogiem był zarówno robot-

nik, odbudowujący fabrykę, żołnierz polski udający się na front, biedniak, który w reformie rolnej widział realną szansę poprawy swego bytu, jak i członek partii.

W grudniową noc w pobliżu Malawy banda „Dziobaka” morduje Bronisława Koze, jego 18-letnią córkę Stanisławę, uczennicę rzeszowskiego liceum oraz Bronisława Boronia i

Bronisława Bekera. Koza był członkiem PPR i pełnomocnikiem do spraw reformy rolnej. Zwyrondnialcy nim go dobili, w pierwej kolbami karabinów połamali mu ręce i nogi, wybili wszystkie zęby.

W Hyżnem ludzie z oddziału „Rzasy” uprowadzili do lasu komendanta posterunku MO, Stanisława Wojtasika i tam zakuli bagneta.

Z rąk członków bandy „Zapory” ginie zastępca szefa PUBP w Tarnobrzegu, Franciszek Gugala.

Bandyci „Draży” mordują Jana Kepe i Józefa Kurza z Borku Starego, Władysława Kornaka z Ractawówki i Franciszka Soleckiego z Wyznego.

Reakcyjne podziemie było na ogół nieźle zorganizowane i dysponowało najnowocześniejszą bronią, pochodzącą m. in. ze zrzutów. Jak podaje w swoich wspomnieniach Antoni Lubiniecki, opublikowanych w „Materiałach z sesji popularnonaukowej, poświęconej zagadnieniom kształtowania się władzy ludowej na Rzeszowszczyźnie”, w 1944 roku na terenie naszego województwa działało kilka dużych ugrupowań reakcyjnych, których głównym celem była walka z nowym ustrojem.

„W pierwszym rzędzie — jak pisze A. Lubiniecki — były to organizacje o zabarwieniu endeckim: okręg Stronictwa Narodowego, podokręg SN, 13 zarządów powiatowych SN, okręg NOW (Narodowej Organizacji Wojskowej), okręg PAS (Pogotowie Akcji Specjalnej), 2 obwody PAS, 9 placówek

PAS, okręg NOWK (Narodowa Organizacja Wojskowa Kobiet), 2 komendy powiatowe NOWK, komenda oddziałów leśnych NOW, 3 bandy NSZ, pułk NSZ im. Witosa (składowa część Brygady Świetokrzyskiej „Bohuna”).

Dochodziły do tego oddziały AK, które nie ziożyły broni i występowały zbrojnie przeciwko ludowej władzy.

Natomiast w południowo-wschodnich powiatach województwa, od chwili wyzwolenia rozpoczęły aktywną działalność bandy UPA w sile około 3 tys. ludzi.

Tylko do końca 1944 roku od kul podziemia zginęło na Rzeszowszczyźnie lub zostało zamordowanych 10 funkcjonariuszy UBP, 34 funkcjonariuszy MO, 14 członków komisji reformy rolnej i 205 członków PPR, SL, działaczy państwowych i innych obywateli, nie licząc żołnierzy i oficerów WP oraz Armii Radzieckiej.

W tej niezwykle skomplikowanej sytuacji pracownicy Bezpieczeństwa nie stracili zimnej krwi. We wsiach samorzutnie powstawały jednostki samoobrony, składające się z ludności cywilnej, które przeciwstawiały się reakcji.

Bojanowski zdając sobie sprawę, że bandyci wiedzą o pobycie jego ludzi na tym terenie, przerzucił oddział ze wsi do wsi. Funkcjonariusze przeszli już jednak swój pierwszy chrzest bojowy. Przed tygodniem w składzie innych jednostek WUBP i MO brali udział w odparciu ataku oddziałów AK na rzeszowskie wię-

zienie, w którym 90 procent więźniów stanowili aresztowani kolaboranciści. Ponadto pomogli w rozbiściu dwóch grup dywersyjnych, które otrzymały rozkaz zgładzenia pełnomocnika PKWN do spraw reformy rolnej majora Konopki oraz członków kierownictwa KW PPR.

Powrócili więc w rejon Borku w dobrym nastroju. Niestety, nazajutrz w oddziale zapanowało przygnębienie. W tym samym bowiem dniu, w którym przybyli do wsi, ludzie z bandy „Draży” zamordowali burmistrza Białowej, Józefa Marcza, urząd gminny spalili, niszcąc dokumenty i wartościowe przedmioty. Marczak był osobą popularną w mieście i niezwykle lubianą. Często kontaktował się z oddziałem, dostarczając podwoły i żywność. Nic więc dziwnego, że pogrzeb Marcza zgromadził setki mieszkańców Białowej i pobliskich wsi. Oddział pożegnał go salwami.

Na stole kopciła lampa. Było już późno. Funkcjonariusze pochylili się nad wojskową mapą.

— Więc jak, koleś, decydujemy się na tę akcję?

— Też pytanie — odparł któryś z chłopców. — Taka okazja nie zdarzy się już nigdy.

Oddział otrzymał wiadomość, że postrach okolicznych wsi, „Draży”.

CIĄG DALSZY NA STR. 2

# PUBLICYSTYKA KONSPIRACYJNA

# PPR

....Pierwszy krok do zrzucenia niewoli jest odważny się być wolnym. Pierwszy krok do zwycięstwa — poznać się na własnej sile”

(Tadeusz Kościuszko, Odeza do Obywateli, 24 III 1794 r.)

25 rocznica powstania Polskiej Partii Robotniczej stanowi szczególną okazję do eksponowania serii konspiracyjnych materiałów, dzisiaj już dokumentów o historycznej wadze. Do ich rzędu należą dwa obszernie wydane przez Zakład Historii Partii przy KC PZPR tomy „PUBLICYSTYKI KONSPIRACYJNEJ PPR 1942 — 1945”. Tom I przynosi zespół 63 artykułów poczynając od publikowanego dnia 1 lutego 1942 w „Trybunie Wolności”, który wyjaśniał stanowisko PPR w sprawie utworzenia Narodowego Frontu Walki przeciwko okupantowi hitlerowskiemu do artykułu z wydawanego w Łodzi „Chłopskiego Jutra” z grudnia 1942, omawiającego problem reformy rolnej w wyzwolonej Polsce, z wezwaniem do organizowania Narodowych Komitetów Walki.

Jest to czas najcięższej okupacyjnej nocy. Jest to pierwszy rok działalności Polskiej Partii Robotniczej; ładunek treściowy obu publicystycznych materiałów określa dalekosiędną politykę PPR: przewodząc walce o zwycięstwo, występu-

je z konkretnym programem rewolucyjnych reform dla wyzwolonego kraju.

Tom II obejmuje wybór 173 pozycji z PPR-owskiej publicystyki konspiracyjnej roku 1943. Artykuł „Rok walki” zamieszczony w „Trybunie Wolności” w styczniu 1943 sumował już polityczny dorobek rocznej działalności partii. Obszerniejszy szkic z „Trybuny Robotniczej” wychodzącej w Bielsku (grudzień r. 1943), analizował aktualną sytuację polityczną na arenie międzynarodowej i w kraju, wskazywał na dalszą perspektywę jej rozwoju.

We wstępie do I tomu Antoni Przygoński pisze: „Podstawowe założenia polityki partii w zakresie walki o front narodowy w Polsce, o pełną konsolidację wszystkich prawdziwie demokratycznych i patriotycznych sił narodu na gruncie walki zbrojnej z okupantem hitlerowskim — znajdowały swój wyraz nie tylko w podstawowych dokumentach partyjnych, lecz również w szeregu artykułów publikowanych w prasie partyjnej, głównie w „Trybunie Wolności” organie KC PPR... W opracowanie programu demokracji ludowej w Polsce, poważny wkład wniósł Władysław Gomułka („Wiesław”), członek KC, I sekretarz KC PPR, a od listopada 1943 r. generalny sekretarz partii. Jest on autorem projektów szeregu dokumentów pro-

gramowych partii, (m. in. projektu deklaracji programowej PPR z listopada 1943 r.) oraz wielu artykułów ideowo - politycznych — opublikowanych na łamach konspiracyjnej prasy partyjnej, m. in. artykułu programowego pt. „O myśl polityczną polskiej demokracji”, zamieszczonego w nr 39 „Trybuny Wolności”, i września 1943 r. Publicystyka konspiracyjna PPR — czytamy dalej — nie ograniczała się wyłącznie do zagadnień natury ideowo - programowej. Dużo miejsca poświęcała również wielu innym problemom polityki i działalności partyjnej, m. in. zagadnieniom budownictwa partyjnego, formom i metodom pracy z masami, sprawie współdziałania z innymi partiami politycznymi, głównie z RPPS i SL, polemice z wrogą propagandą podziemia burżuazyjnego w kraju, rozważaniom na tematy historyczne, filozoficzne itp”.

Przyświecało jej generalne hasło bezapelacyjnej walki z faszyzmem, z hitlerowskim okupantem. Ta publicystyka nazbyt może zwiędła (warunki wojennej konspiracji narzucały te rygory pisaćym) demaskująca reakcyjną politykę rządu londyńskiego, wsteczne, antyradzieckie knowania jego agentur w kraju, tępi bezkompromisowo wszelkie przejawy kolaboracji. Nie ma litości dla nosicieli antysemit-

tyzmu, nie ma pobłażania dla tych, którzy chcieliby wszczepić „Trąd hitleryzmu na ciele Polski”. W artykule pod takim tytułem „Głos Warszawy” demaskował prohitlerowską działalność tzw. Obozu Narodowego. Wzywając do solidarności i pomocy z zamkniętą w gettach ludnością żydowską, publicystyka ta chłocznie hitlerowskich szlugałów tzw. policji żydowskiej, z tzw. rad starszych, złożonych przede wszystkim z żydowskiej plutokracji.

Autrzy prozy konspiracyjnej, nie operującej bynajmniej cienką aluzją, chwilami ostrej jak pchnięcie bagnetem, przeznaczonej dla szerokiego mas, (Okólnik KC PPR wyraźnie nawoływał do kolportowania prasy partyjnej wśród bezpartyjnych, członków innych partii) częstokroć nawiązują do szczytnych postępowych tradycji narodu polskiego. „Chcąc zrzucić jarzmo niewoli, należy odważyć się być wolnym” głosiła „Trybuna Ziemi Lubelskiej” w lipcu 1943 roku, gdy postulowała zjednoczenie wysiłku zbrojnego w kraju i utworzenie Armii Ludowej.

Motto do artykułu stanowił fragment z odezwy do Obywateli wydanej przez Tadeusza Kościuszkę przed 150 laty.

Walcząc z trucizną gadzinowej, hitlerowskiej propagandy, zatrzymując podbity naród, skazany na „informację” z rozmaitych drukowanych w języku polskim niemieckich szmatławców, gadzinówek, z ulicznych głośników, PPR-owska publicystyka wybiegała daleko w przyszłość. Refleksje na temat roli inteligencji, zadań oświaty w przyszłej wyzwolonej ojczyźnie, kolportowane wówczas, gdy kraj krwawił w okowach niewoli, krzepiły nadzieję, budziły wolę walki.

Dziś, z perspektywy lat stwierdzic wypada, że ci, którzy wówczas odkładali, być może, na chwilę broń, by sięgnąć po pióro, mieli pełne prawo powiedzieć o sobie „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy”...

PODCZAS spotkań ze społeczeństwem, a zwłaszcza z młodzieżą, licznych z okazji 25-lecia PPR, ze wszech miar warto sięgnąć do tych artykułów, rzucić je na historyczne tło lat, w jakich powstawały. Konfrontacja tego co zapowiadała, o co postulowała i walczyła publicystyka konspiracyjna PPR z programem, jaki partia zrealizowała po wyzwoleniu, z dorobkiem, jakim, w ćwierćwiecze po powstaniu Polskiej Partii Robotniczej, przed narodem legitymuje się PZPR, jest znakomitą, czytelną lekcją najnowszych dziejów ojczyzny.

CECYLIA BŁOŃSKA



# TRUDNE LATA

(Ciąg dalszy ze str. 1)

od dwóch dni przebywa bez obawy w klasztorze sióstr zakonnych w pobliżu Brzozowa. Jego „mołojcy” w sile dwóch kompanii wypoczywają w lasach i okolicznych wioskach. Czego szukał „Draża” w klasztorze — tego nikt nie wiedział. Może miał tam się spotkać z dowódcą innej bandy?

„Draża”, faszysta jugosłowiański, związany na śmierć i życie z podziemiem, wyróżniał się wśród przywódców pozostałych reakcyjnych ugrupowań. Szafował wyrokami i często wykonywał je osobiście. To właśnie jego ludzie wycięli w pień pluton żołnierzy radzieckich w pobliżu Domaradza. To właśnie jego ludzie zamordowali Stanisława Kuśmierza i Andrzeja Pękale z Borku Nowego, pozostawiając ich nagie i zmasakrowane ciała na polnej drodze.

Starszy sierżant Wacław Żukowski mianowany dowódcą grupy pod nieobecność por. Bojanowskiego, którego w pilnej sprawie zawieszono do Rzeszowa, wydawał rozkazy.

— Musimy go wziąć żywcem. Jeżeli będzie uciekać, strzelajcie w nogi. Akcje przeprowadzimy jeszcze dzisiaj. Za godzinę powinny być sennie. Podjedźmy pod sam klasztor. Kędzierski, Graczkowski, Pręcik, Ścierko, Paździerski, Kaczor, Topolski, Konewcki, Babiński i Paluch otoczy zabudowania. Pamiętajcie, żeby mi się nawet mysz nie wymknęła. Do pomocy dostaniecie ludzi z samoobrony. Ja z Remionem wejdziemy do wnętrza...

Podjechali tak cicho, że nigdzie nawet nie zaszczekał. Ludzie wysypali się z sań i zajęli swoje miejsca. Ciała i karabiny ugrzęzły w głębokim śniegu.

Podeszli do drzwi. Zastukali. Po chwili usłyszeli tupot butów.

— Kto tam?  
— Urząd Bezpieczeństwa. Proszę otwierać. Klasztor jest otoczony.

— Kiedy ja nie mam przy sobie kluczy. Muszę pójść na górę — zakonnica była wyraźnie zdenerwowana.

— Jeżeli siostra nam natychmiast nie otworzy, wejdziemy siłą. Głos Remiona brzmiał stanowczo. — Liczymy do trzech... Raz... dwa...  
— Już otwieram. Ze też spokojnym ludziami nie dacie spać.

Odsunęli na bok wystraszoną zakonnice i popędzili na górę. Ni stąd ni zowąd zjawił się ksiądz.

— O co chodzi, panowie?  
Młodzi, Remion usłyszał jakiś hałas, dobiegający spoza drzwi sąsiedniej celi. Dostukał i nacisnął klamkę. Były zamknięte.

Klucze do tego pomieszczenia miał ksiądz. Zanim znalazł je w kieszeni ukrytej w fałdach obszernej sutanny, upłynęło sporo czasu. Otworzyli. Ani żywej duszy. Ale napoczęta konserwa, kawałki chleba, resztki jajecznic i ogień w piecu świadczyły, że ktoś tu przed chwilą był.

— Uciekł nam sk... syn! — zaklął Remion, wskazując otwarte okno. — Nie zdążyliśmy. Teraz...

Nie dokończył. Z pola usłyszał krzyk:

— Mamy go! Jest tu!

Istotnie, był to „Draża”. Leżał teraz na śniegu i włóczył się z bólu, jęcząc tak głośno, że funkcjonariusze musieli mu usta zakneblować, żeby nie ściągnął im na kark swoich ludzi. Szef bandy złamał bowiem w czasie skoku nogę.

Zaraz też załadowano go na sanie i okrężną drogą, by uniknąć spotkania z całą bandą, powieziono do Rzeszowa, gdzie został umieszczony w szpitalu. Po kilku dniach członkowie bandy odbili swego dowódcę, zabijając przy tym dwóch strażników.

Już szósty miesiąc ludzie Bojanowskiego przebywali w terenie odgryzając się bandom. Oddział wciąż przeczucano z miejsca na miejsce.

W Wielką Sobotę rano otrzymali z Rzeszowa nowe zadanie: — W Straszyciu, w domu położonym na skraju lasu zatrzymała się jakaś banda. Mamy wiadomości, że szykują akcję. Chodzi o uniemożliwienie terrorystom przeprowadzenia jakiegokolwiek wypadu.

Wyruszyli przed południem. Piecho. Bez kompasu, mapy, z trudem wyciągając nogi z lepkiej gliniastej ziemi.

Potem okazało się, że zabłądzili. Nim więc dotarli do Straszycia, była już noc. Tu dołączył do nich Edward Wilkus z WUBP i trzech innych funkcjonariuszy PUBP z Rzeszowa oraz 8 członków samoobrony.

Okrażyli dom. Wilkus z Remionem zapukali do okna. Po chwili jakaś ręka odsunęła firankę. Była to ręka starej kobiety.

— Czego? — warknęła.  
— Tu wojsko, otwórzcie — powiedział Remion.

— Nie otworzę, u mnie też jest wojsko — to mówiąc kobieta zdarła firankę. Wilkus i Remion jakby przeczuwając co się święci, odskoczyli. W tym momencie seria z pistoletu maszynowego, puszczona z wnętrza domu przecięła powietrze.

Funkcjonariusze i członkowie samoobrony odpowiedzieli ogniem. Bandyci ukryci za parapetem okna pruli serią za serią w kierunku kopca z ziemniakami, za którym leżało kilku funkcjonariuszy.

Kędzierski nerwowo nie wytrzymał.

— Już ja ich zatkam, psiakrew!

Wyskoczył, a za nim Topolski. Dopadli do drzwi. Kędzierski wyważył drewniane wrota, lecz w tym momencie dostał kulę prosto w czoło. Topolski podtrzymał go, ale widząc, że ten już nie żyje, położył go na ziemi i wbiegł do środka strzelając z pepeszy. Już podnosił rękę z zapaloną latarką, żeby przywołać pozostałych członków oddziału, kiedy seria w brzuch zwałiła go z nóg. Na pomoc rannemu towarzyszowi podeszły Paździerski.

Bandyci wycofali się na strych, przez cały czas prowadząc ogień. Walka rozgorzała na dobre. Świtało.

Nagle dom zaczął się palić.

— Nie strzelać! Nie strzelać! — krzyknął któryś z funkcjonariuszy. Tam są przecież kobiety. Wychodźcie! — rozkazał. — Nie wam nie zrobimy.

Kobiety płacząc i lamentując wyszły z domu wyprowadzając bydło. Ogień sięgał już strychu.

Jeden z członków samoobrony podczoigał się do Wilkusa.

— Ja znam tych ludzi — powiedział. W tym domu mieszkają 3 kobiety; matka i dwie córki, a wyszło ich 4. Coś mi się zaczyna nie podobać.

Posłano dwóch funkcjonariuszy, aby rzecz całą wyjaśnić. Okazało się, że jeden z bandytów chciał uciekać w przebraniu kobiecym.

Ogień ogarnął już cały dach. W tym momencie rozpadła się istna piekło. Potężne wybuchy jakby jakąś czarodziejską siłą wzniosły resztki budynku w powietrze. Był to widok straszny. Dookoła fruwały płonące belki, resztki odzieży i pościeli. Oddział zabierając z sobą jeńca, kobiety, zabitego Kędzierskiego i śmiertelnie rannego Topolskiego szybko się wycofywał. Tajemnica wyjaśniła się: w tym domu

był również magazyn amunicji bandy.

Kiedy wracali, obok kościoła ludzie akurat wychodzili z rezurekcji. Gdyby nie interwencja oddziału o mało nie doszłoby do samosądu na pojmanym bandycie. Banda od dłuższego bowiem czasu terroryzowała mieszkańców, rabując żywność, pieniądze i rozstrzelując każdego, kto chociażby słowem sprzeciwiał się jej samowoli.

Topolskiego niestety nie udało się utrzymać przy życiu. Zmarł w drodze z upływem krwi.

Ludzie Bojanowskiego walczyli jeszcze dość długo. Z 13-osobowego samodzielnego oddziału pozostało dziś przy życiu tylko 4. Rannego Bojanowskiego zamordowali terrorysty w szpitalu na łożku. Wacław Żukowski zginął w walce z bandą „Mewy” w Gniewczynie, w pow. przeworskim. Henryk Konewcki poległ w czasie aresztowania w Rzeszowie przywódcy bandy „Popka”. Tadeusz Kaczor zmarł 3 lata temu, Stanisław Graczkowski, Marian Babiński i Alfons Pręcik oddali swe życie na Ziemiach Zachodnich w walce z niedobitkami niemieckich faszystów.

Władysław Paździerski prowadzi własne gospodarstwo w jednej ze wsi kieleckich. Bolesław Ścierko mieszka gdzieś na zachodzie i jest już na rencie. Teofil Paluch pracuje w Rzeszowie, w spółdzielczości. W Rzeszowie pracują również Józef Remion i Edward Wilkus.

Wszyscy zaabsorbowani codziennymi obowiązkami zawodowymi i rodzinnymi nie mają nawet czasu, by wracać wspomnieniami do minionych lat. Było — przeszło, życie biegnie naprzód, czas zaciera w pamięci fakty i wydarzenia. Człowiek do pewnych zjawisk społecznych szybko przywyka. Taka jest już jego natura.

Dla ich dzieci i wnuków to już tylko historia. I jeżeli dziś piszemy i mówimy o wydarzeniach tamtych dni, to właśnie po to, żeby przypomnieć, z jakiego punktu startowaliśmy, od czego zaczynaliśmy. I żeby wreszcie przypomnieć, że to wszystko, do czego przywykliśmy, co składa się na dzień dzisiejszy, dorobiliśmy się ciężką, pełną wyrzeczeń i ofiar pracą i walką. Tych, którzy zginęli i którzy przeżyli.

A pamiętać trzeba...

EDWARD WISZ



Ludzie, którzy pracując w organach Bezpieczeństwa od początku wyzwolenia, brali udział w wielu walkach z grupami reakcyjnego podziemia. Od lewej: Józef Remion, Edward Wilkus i Antoni Lubiniecki.  
Fot. M. KOPEĆ

## „Almanach młodych“

Ukazał się szósty z kolei tom „Almanachu młodych”. Wydawnictwo „Iskry” 1966 r. Almanach opatrzyli wstępami Tadeusz Konwicki (proza) i Artur Międzyrzecki (poezja).

Wśród nazwisk młodych prozalków, niestety, nie ma autorów naszego województwa. Natomiast w dziale poezji reprezentowanej przez 37 autorów złożyli swe karty wizytowe: Barbara Tondos i Tadeusz Kubas z Rzeszowa oraz Zdzisław Teneta z Krosna.

Artur Międzyrzecki we wstępie do Almanachu pisze m. in.: „Almanach „Iskry” przedstawia też wiersze i autorów na zasadzie ufności — w przeświadczeniu, że nie będzie zbiorów wybitnych bez rozległego ruchu wydawniczego i zorganizowanej pierwszej pomocy w nagłych wypadkach lirycznych — i nie ma jak dotychczas lepszej w tym zakresie pedagogiki, oczywiście, jeśli stowarzysza się ona z surową selekcją. Taka jest zasada tego skromnego wyboru poetyckiego”.  
Prezentujemy autorów rzeszowskich.

Barbara Tondos

### Syn

Twoją matkę zaniosą gołębie do nieba. Będzie przyjęta herbata niemocną, słodzoną, z cytryną. Wejdzie do kuchni z białą szafką i kraciastym dzbankiem. W spiżarni będą polcie solone słoniny, borynka ze śmietaną, beczka kiszzonej kapusty.

Podobny do ciebie anioł wyjdzie powitać ją przed bramą, a potem zjedzą się goście.



Tadeusz Kubas

### Podpromie

wrosłe w ziemię  
chaty babuleńki

okolone fałbaną  
opłotków

ledwie miosą  
nakrycia gontowe

umierają  
w kwitnących ogródkach

u stóp  
w słońce wpatrzonych  
budowli

Zdzisław Teneta

## Cmentarz Wojenny w Komarniku

(Czechosłowakom, poległym pod Duklą — poświęcam)

Ziemia  
przygarbiona w rozpacz  
dzierży nad mogiłami  
ostrokamienną bramę

Błękit  
w lukowatościach wzniesień  
spaja horyzont

Rozszumiały się  
świerki i konwalie  
rozdzwoniły się  
polne dzwonki  
w takt  
osiemdziesięciu tysięcy  
nie spełnionych marzeń



Pamiątkowe zdjęcie robione w pierwszych dniach 1945 roku w prowincjonalnym atelier. Stoją: Kazimierz Kordyka i Wacław Warszawa. Siedzą: Józef Janicki i Edward Wilkus.



Zdzisław Kozioł

# KOLEJNY

**W** WRZESNIU br. w liceach ogólnokształcących i szkołach zawodowych podejmuje naukę absolwenci 8-klasowej szkoły podstawowej, a więc młodzież starsza, dysponująca rozleglejszą, pogłębioną wiedzą. Uczyć się będzie w oparciu o gruntownie zmienione programy nauczania.

Pierwszy etap reformy szkolnej, uwieńczony przejściem na 8-letnie nauczanie, zaznaczył się wydatnym wzrostem zainteresowania społeczeństwa zagadnieniami kształcenia młodzieży oraz warunkami pracy szkoły. Zainteresowanie to przerosło się w różnorodny świadczenia na rzecz szkolnictwa, z których szczególnie ważnym jest budownictwo z historycznymi już pomnikami Tysiąclecia. Są to sprawy powszechnie znane, wobec tego nie będą ich rozwijał. W ostatnich latach wysuwano również inicjatywy w zakresie ułatwienia szkole pracy wychowawczej, co jest doniosłym novum.

Oceny to zbyt ogólne, niemniej ukazują pewną tendencję, w moim przekonaniu stwarzającą szkolnictwu coraz przychylniejszą atmosferę.

Znacznie trudniej dokonać merytorycznej oceny skuteczności nowych programów nauczania. Zaczniemy od spraw organizacyjnych. Zrekonstruowano sieć szkolnictwa podstawowego, wprowadzając zasadę dwustopniowości: szkoły niepełne z klasami I-IV oraz szkoły pełne z klasami I-VIII. W pierwszych kształcą się tylko 4,4 proc. ogółu uczniów, z tym że mają oni zapewnioną możliwość dalszej nauki w pełnych szkołach 8-klasowych. Jest to istotne osiągnięcie, chociaż pod tym względem pozostało sporo do zrobienia. Niejednokrotnie pisałem np. o trudnym dostępie do szkół w rejonach górskich, z odległych osad i przysiółków.

Szkolnictwo podstawowe ma jeszcze słabe ogniwa, szczególnie szkoły 8-klasowe o 4 i 5 nauczycielach, w których prowadzi się naukę systemem klas łączonych. Ponadto są one z reguły słabiej wyposażone w pomoce naukowe itp., nauczyciele zaś — uczyąc po kilka przedmiotów — nie mają możliwości specjalizacji, niezbędnej dla skutecznej realizacji nowych programów. To powoduje niższy poziom nauczania, słabsze przygotowanie młodzieży do kontynuowania nauki. Wprawdzie w tych szkołach uczy się tylko 8 proc. uczniów, ale uwzględnijmy, że są to szkoły wiejskie; znaczny więc odsetek młodzieży chłopskiej ma siłą rzeczy trudniejszy start. Wyszukane są postulaty dalszych zmian w tym zakresie, ale to już temat do szczegółowych rozważań.

Innym słabym ogniwem jest niewystarczająca sieć szkół specjalnych. Jak podaje Kazimierz Wojciechowski („Głos Nauczycielski” nr 3) z ogólnej liczby 140 tys. dzieci niezdolnych do kształcenia się w szkołach „normalnych”, tylko około 76 tys. znajduje się w szkołach specjalnych, a 13 tys. w ogóle się nie uczy.

Niepokojącym zjawiskiem towarzyszącym przejściu na 8-letnie nauczanie jest także zwiększenie liczby dzieci i młodzieży nie wykonującej obowiązku szkolnego. Organa administracji terenowej wykazują pod tym względem sporo liberalizmu wobec rodziców i opiekunów.

Czy poziom nauczania w ostatniej klasie szkoły podstawowej odpowiada poziomowi dawnej klasy VIII liceum ogólnokształcącego? Wiele z tych szkół ma przecież słabiej przygotowaną kadre, gorsze wyposażenie itp. Z fragmentarycznych badań wynika, że np. brak odpowiednich pomocy naukowych powoduje nawet pominięcie pewnych partii programu matematyki czy fizyki. Niepokój budzi także realizacja programu zajęć praktyczno-technicznych. Brakuje również lektur do języka polskiego.

Spotykałem się z pretensjami do nauczycieli wychowania obywatelskiego. Dotyczyły one zbyt ogólnikowego podawania wiedzy o Polsce i świecie współczesnym, skrywania się za parawanem prawd oczywistych, które nierzadko trąca frazezem. Dotyczy także pozostawiania uczniom daleko idącej „swobody”, wyrażającej się w zadawaniu tematów, którym z trudem może podołać dorosły człowiek, uważnie śledzący bieg wydarzeń w Polsce i

świecie. Sądzę, że część nauczycieli zbyt ulega podręcznikowi, który zawiera rozległy materiał, a zarazem nie jest wolny od dużej dozy deklaratywności. Ponadto nauczyciele — tak przynajmniej mniemam — stronią od samodzielnej oceny pewnych zjawisk politycznych i społecznych narastających z dnia na dzień.

Czas jednak skończyć ten problem, bo czytelnik może odnieść wrażenie, że zaprzeczam własnej ocenie, iż absolwenci 8-klasowej

# ETAP

szkoły podstawowej będą dysponować rozleglejszą, pogłębioną wiedzą. Ocenę tę rzecz jasna potwierdza, a wskazałem jedynie na pewne trudności w realizacji nowych programów nauczania.

W przyszłym roku w szkołach podstawowych kształcić się będzie rekordowa liczba dzieci i młodzieży — 5 757 tys. uczniów, o 250 tys. więcej aniżeli obecnie. Ten szczyt wyżu demograficznego pociągnie za sobą konieczność zatrudnienia 14 tys. nauczycieli, spowoduje dalsze zagęszczenie szkół, a tymczasem realizacja planów inwestycyjnych budzi uzasadnione obawy.

Teoretycznie rzecz biorąc, nie powinno być większych kłopotów z absolwentami szkół podstawowych, których będzie ok. 380 tys. W pierwszych zaś klasach szkół średnich i zasadniczych zawodowych przygotowano 405 tys. miejsc. I tak np. licea ogólnokształcące przyjmą 89,8 tys. uczniów, technika zawodowa — 61,1 tys., zasadnicze szkoły zawodowe — prawie 193 tys. oraz szkoły przysposobienia rolniczego — ponad 55 tys.

W szkołach zawodowych będą mogli podjąć naukę absolwenci z lat ubiegłych, a że kończyli oni 7-klasową szkołę podstawową, utworzy się specjalne oddziały z innym programem nauczania.

Wbrew jednak pozorom tegoroczna rekrutacja nie będzie łatwa. Należy się liczyć z dużym napływem kandydatów do szkół atrakcyjnych, zwłaszcza techników, w których ilość miejsc jest ograniczona. Zagadnienia te omówię w oddzielnym artykule, dziś zaś ograniczę się do zasygnalizowania jednej tylko sprawy. Wśród obecnych 8-klasistów przeważają dziewczęta, których jest 59,2 proc.

Chodzi więc o zapewnienie im możliwości kształcenia. Niestety, mają one utrudniony dostęp do szkół zawodowych przygotowujących do tradycyjnie „męskich” zawodów. Cięży tu zakorzenione uprzedzenie wielu szkół do dziewcząt, które — jak często slyszalem — następczą sporo kłopotów. Również pracodawcy nie przyjmują z ochotą absolwentek. Idą więc do liceów ogólnokształcących, lecz nadmierna feminizacja tych szkół jest z wielu względów niepożądana, chociażby dlatego, że stanowią one bazę rekrutacyjną na wyższe uczelnie.

Problem jest rzeczywiście skomplikowany, ale trzeba szukać możliwości jego rozwiązania, może drogą administracyjną, np. narzucając limity dziewcząt w niektórych szkołach zawodowych.

Jak już pisałem, od września obowiązują będą w szkołach średnich i zasadniczych zawodowych nowe programy nauczania. Do liceów ogólnokształcących wprowadzono 3 nowe przedmioty: wychowanie obywatelskie, wychowanie plastyczne i muzyczne. Poważnie zmieniono również program wychowania technicznego przeznaczając na ten przedmiot dwukrotnie więcej godzin. Zakłada się zbliżenie młodzieży do problemów techniki, lecz w mniejszym niż dotychczas stopniu drogą zajęć praktycznych w warsztatach. Program preferuje zastosowanie matematyki czy fizyki w technice, co niewątpliwie przyniesie znaczne korzyści dydaktyczne.

Nowe programy kładą szczególny nacisk na problematykę współczesności. Np. język polski obejmie „współczesne życie literackie i kulturalne”, a w wykazie lektur dla klasy I znajdują się takie utwory, jak: „Czerwone tarcze”

J. Iwaszkiewicza, „Luny w Bieszczadach” J. Gerharda, Opowiadania Hemingway’a czy „Lata walki” S. Sowińskiej. Wychowanie obywatelskie obejmie podstawowe wiadomości o społeczeństwie i prawach jego rozwoju, o ustroju społeczno-ekonomicznym i politycznym PRL, problemy polityczne współczesnego świata oraz wybrane zagadnienia z etyki moralno-społecznej. Zagadnienia współczesne uwzględnią również program innych przedmiotów, w tym geografii i przysposobienia obronnego.

W klasach IV liceów przewiduje się zajęcia fakultatywne. Mają one pogłębiać i poszerzać wiadomości uczniów oraz wdrażać ich do samodzielnej pracy. Należy się spodziewać, że wprowadzenie zajęć fakultatywnych stanowić będzie pomost łączący liceum z uczelnią, przełamię bariery trudności między szkołą średnią a wyższą.

Przygotowania do reformy liceów są już zakończone. Wraz z nowymi programami nauczania, które szkoły już otrzymały, obowiązywać będą nowe podręczniki; w księgarniach pojawiają się one w kwietniu — sierpniu br.

# REFORMY

Szczególnie doniosłym i trudnym przedsięwzięciem jest reforma szkolnictwa zawodowego. Prowadzone od kilku lat prace dobiegają końca, m. in. przygotowano programy przedmiotów ogólnokształcących oraz zawodowych dla klas pierwszych. Prace nad programami innych przedmiotów jeszcze trwają; prowadzą je wspólnie zespoły specjalistów Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego oraz resortów gospodarczych. W pracach uczestniczy m. in. 29 profesorów i docentów wyższych uczelni, 35 samodzielnych pracowników naukowo-badawczych i przedstawiciele szkolnictwa zawodowego.

Na podkreślenie zasługuje aktywny udział nauczycieli w dyskusji nad programami. Poważny wkład wnieśli także przedstawiciele nauki, resortów, zjednoczeń i przedsiębiorstw. Była to rzeczwiście powszechna dyskusja. O jej zasięgu świadczy chociażby przykład podany przez Stanisława Dobosiewicza („Głos Nauczycielski” nr 4): założenia programowe technikum włókienniczego (specjalność tkactwo) przekazano do oceny 106 szkołom, instytutom naukowym i wyższym uczelniom, resortom, zjednoczeniom i zakładom pracy oraz 10 recenzentom. Inny przykład. Projekt programu chemii organicznej dla II i III klas technikum chemicznego oceniło 46 recenzentów. Przeciwnie o jednym projekcie programu wypowiedziało się ok. 30 osób, z tym że poszczególne zawody spotykały się z niejednakowym zainteresowaniem. O zawoździe sprzedawcy wypowiedziało się 76 osób, o zegarmistrzu natomiast — zaledwie 14.

W sumie zainteresowanie reformą szkolnictwa zawodowego jest bezsprzecznie duże, a wkład rzeczoznawców i opiniodawców spoza resortu oświaty — niespotykany dotąd. Ale programy nauczania, nawet najdoskonalsze, są tylko wytycznymi, o których realizacji decyduje nauczyciel, dysponujący rzeczywistymi nowoczesnymi pomocami naukowymi i w ogóle bazą materialną.



Bolesław DUSZA — Kamieniołom II — Olej.

# TWORCZOŚĆ zaangażowana

Na wystawie malarstwa Bolesława Duszy oraz grafiki i rysunku Adolfa Jakubowicza w Domu Sztuki w Rzeszowie zgromadzono około 70 prac, będących przeglądem wieloletniego dorobku tych artystów. Połączenie malarstwa i grafiki okazało się w tym przypadku pomysłem szczególnie szczęśliwym. Tak malarstwo B. Duszy, jak i grafika A. Jakubowicza mają wspólne źródła inspiracji. Jest nimi emocjonalne zaangażowanie twórców sprawami i treścią nam bliską. Mimo że tematem większości prac jest pejzaż, to jednak jest to sztuka nie unikająca człowieka, a firmująca jego działalność, wielkie przemiany dnia codziennego.

Bolesław Dusza i Adolf Jakubowicz uczestniczyli we wszystkich

pacja. Artysta jest nie tylko wnikliwym obserwatorem, ale czynnym uczestnikiem wydarzeń, uczuciowo zaangażowanym. Bogate formy górskiego krajobrazu Jakubowicz oddaje prostymi środkami graficznymi pozbawionymi taniego efektu dekoracyjnego.

Wyjątek odbiegający od tematu stanowi cykl grafik „Ludzie w drodze” i rysunek „Patrol” (nagrodzony w konkursie „Lata walki w dziejach sztuki”). Cykl ten jest na pewno ilustracyjnym przyczynkiem do wielkich ruchów migracyjnych w powojennej Polsce. Artysta umiejętnie operując kolorem zawarł w swoich ilustracjach nadzieje i niepokoje, tragizm i optymizm ludzi tamtych czasów.



ADOLF JAKUBOWICZ — PEJZAŻ, TUSZ

wystawach Oddziału Związku Polskich Artystów Plastyków, wystawach rzeszowskiego środowiska-pla-

Prace malarskie Bolesława Duszy reprezentują jego 2-letni dorobek i wskazują również na powiązania uczuciowe artysty z Bieszczadami. Wiele prac powstało w czasie pleneru zorganizowanego przez Wojewódzką Komisję Związków Zawodowych. Odbicie tych przeżyć i wrażeń artystycznych odnajdujemy w pejzażach ze Soliny.

Chyba nie będę się mylił, że w twórczości B. Duszy możemy wyróżnić dość wyraźnie dwie zasadnicze konwencje, dwa kierunki wypowiedzi plastycznej. W pejzażach artysta bardzo umiejętnie operuje zestawem bieli i szarości np. „Pejzaż zimowy”, „Pierwszy śnieg” itd. Również bardzo interesujące są kompozycje, w których B. Dusza nawlekuje poprzez formę, kolor i fakturę do płaskorzeźb.

Tomasz Zieliński omawiając wystawę plastyków rzeszowskich w Warszawie w 160 numerze „Współczesności” pisze:

„Prace artystów środowiska rzeszowskiego nie reprezentują jakiegoś określonego kierunku; nawet żaden kieru-

**Bolesław Dusza** urodził się w 1930 r. w Gorlicach. Studia artystyczne odbył w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych pod kierunkiem prof. Jerzego Fedkowicza. Dyplom Wydziału Malarstwa otrzymał w roku 1957. Uprawia malarstwo sztalugowe i ścienne. Udział we wszystkich wystawach Grupy XIV, w wystawach rzeszowskiego Oddziału ZPAP, w Wystawie 4 Województw (Białystok, Kielce, Lublin, Rzeszów) — 1963; w Wystawie Malarstwa Grafiki i Rysunku Rzeszowskiego Okręgu ZPAP — Warszawa — Zachęta, 1964; w Wystawie Malarstwa „Jesienne Konfrontacje” — Rzeszów, 1965. Wyróżnienie w konkursie „Rzeszów i jego okolice” otrzymał w roku 1964.

stycznego na terenie kraju, w tym również na wystawie rzeszowskiego ośrodka w Warszawie. Jak wiemy wystawa ta została bardzo pozytywnie przyjęta przez krytykę.

Większość grafiki i rysunków Jakubowicza związana jest z pejzażem rzeszowskim, a ściślej z pejzażem Bieszczadów, Pogorza i Podkar-

**Adolf Jakubowicz** urodził się w 1930 r. w Iwoniczu-Zdroju. Studia artystyczne odbył w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych pod kierunkiem prof. Konrada Strzednickiego. Dyplom Wydziału Grafiki otrzymał w 1956 r. Uprawia grafikę i rysunek. Udział we wszystkich wystawach Grupy XIV, w wystawach rzeszowskiego Oddziału ZPAP, w wystawie „Grafika Artystyczna i Rysunek w XV-lecie PRL — Warszawa 1961. Wystawa indywidualna w Iwoniczu-Zdroju w 1962 r. Nagrody: III nagroda w konkursie zorganizowanym przez Prezydium MRN w Rzeszowie „Miasto w którym żyjemy” — 1962; II i III nagrody w konkursie zorganizowanym przez KW PZPR i Prezydium WRN w Rzeszowie: „Lata walki w dziejach sztuki” — 1963. Prace w zbiorach muzealnych, Instytucji państwowych i osób prywatnych.

nek czy tendencja nie zdają się na wystawie dominować. Ten brak jakiegokolwiek uniformizmu nastroja zdającego jak najbardziej pozytywnie”.

Sądzę, że właśnie jest to zjawisko dość charakterystyczne dla twórczości rzeszowskich plastyków; nie kierunek, nie jakaś „szkoła”, ale własna droga poszukiwań składa się na bogactwo interpretacji artystycznej poszczególnych twórców.



Józef Jan Nowakowski

# Jeszcze o „Katarakcie” B. LOEBLA

Wokół „Katarakty” B. Loebla rozwinęła się ożywiona dyskusja nie tylko na tematy literackie. Uderzono w górne tony moralnego oburzenia, felietonowym stylem „rozprawiono się” z książką, mnożąc złośliwości („Literatura a etyka pisarza” — Kultura 1966 roku nr 46; Hamilton: „Palenie czarownic” — Kultura 1966 r. nr 48), a dwaj znani krytycy krakowscy (J. Kajtoch — Współczesność 1966 r. nr 23, W. Maciąg — Życie Literackie 1966 r. nr 48) zaprezentowali zaskakującą odmienność ocen.

Sięgnąłem więc po „Kataraktę” ponownie, by przeczytać tę mikropowieść z baczniejszą uwagą, zwłaszcza że po pierwszej lekturze „Katarakta” nie przypadła mi do gustu, aczkolwiek nie negowałem wielu przychylnych sądów jej pierwszego recenzenta (J. Grygiel: Pamflet na rówieśników — „Widnokrąg” 1966 r. nr 39).

Książkę odłożyłem z pomieszanymi uczuciami i refleksjami: Loebł chce w niej powiedzieć, że są młodzi pisarze, którzy nie posiadają talentu i nigdy nie napiszą wartościowego utworu, przy czym, pozując na autentycznych twórców, okłamują siebie i innych. Ale nie temat, lecz zamysł artystyczny oraz ideowo-moralny aspekt utworu budzić muszą największą ilość kontrowersyjnych sądów.

„Katarakta” jest bowiem książką pozorów, napisaną manierystycznym stylem. Loebł należy do tych pisarzy — zmysłowców, u których poczucie cielesności człowieka jest aż boleśnie żywe. Więc, podobnie jak u innych pisarzy tego typu „żyły” i „kości”, tak u Loebla „ślina”, „pot” i wszelka lepkość — stają się podstawowymi elementami manieri literackiej tego pisarza. Loebł założył, nie bez racji, że objawy destrukcji psychicznej można będzie skutecznie wyrazić formą, która jest pochodną naturalistyczno-eksprejonistycznych tendencji stylowych. Z tego nurtu wywodzą się loebłowskie fizjologizmy, ostrość i drastyczność obserwacji w ramach „małego” realizmu czy wręcz jaskrawe wulgaryzmy. W tej tendencji stylistycznej, która może służyć pisarzowi także do pełniejszego wyrażenia cierpienia moralnych bohaterów, nie zachował jednak Loebł bardzo potrzebnego umiaru. Dlatego też po przeczytaniu paru stron powieści wszystko to, o czym Loebł pisze, staje się nudne, a nade wszystko drażni maniera afunkcjonalnego „fizjologizmu”. Loebł powtarza wspomniane „fizjologizmy” w różnych kontekstach z maniakalną niemal perseweracją. Słowo „ślina” jest obsesją Loebla. W tej krótkiej powieści powtórzy go aż w dziewiętnastu różnych kontekstach, by całkowicie stępić jego wartość ekspresyjną.

A oto kilka przykładów: „Przeknąłem ślinę i żołądek mój skurczył się gwałtownie” (str. 9).

„Opanowałem mnie nagłe uczucie człości, potem ssania w pustych od dwóch dni wnętrznościach. Przeknąłem ślinę i uczucie człości zaczęło ustępować” (str. 11).

„Przeknąłem nabiegłą do ust ślinę. Poczulem, jak pobudzony tym pustym żołądek kurczy się gwałtownie. Zacisnąłem szczękę!” (str. 14).

„Z trudem przeknąłem ślinę. Była gorzka, kleista” (str. 17).

„Przeknąłem ślinę i podniosłem gazetę” (str. 23).

„Przeknąłem ślinę, chce mi się pić” (str. 23).

„Z trudem łapie powietrze. Drapie mnie w gardle. Przełykam ślinę. Jest słodkawa, kleista” (str. 24).

„Oderwałem dłoń od czoła. Była mokra od potu. Czulem go też pod pachami. Usta miałem pełne słodkawej, mdłej śliny” (str. 28).

W takim stylu rozwija Loebł swoje „fizjologizmy”, by sprowadzić narrację do iscie grafomanskiej banalności. Oto jaskrawy przykład tego zjawiska z jednej tylko strony:

„Przełożyłem siatkę do drugiej ręki i wytarłem dłoń o spodnie. W nozdrza uderzyła mnie ostra woń przekrojonego bochenka chleba. Natychmiast, jak przed furgonetką z pieczywem zaczął funkcjonować za instalowany u nasady mego języka węzeł gruczołów ślinowych” (str. 1).

„Miałem pełne usta ciepłej, gęstej śliny, ale nie mogłem jej wypłuć, gdyż Magda śledziła teraz każdy mój ruch” (str. 98).

„Połknąłem ślinę, czulem, jak opada lekko w dół i przeraziłem się, że nie zdolał przewyczyć chwytającej mnie mdłości” (str. 98).

Ten potok fizjologicznych doznań ukazuje równocześnie, jak w mikropowieści Loebla powstaje „wata” narracyjna. Loebł nie nazywa, ale ukazuje pewne stany z całą skalą jaskrawości i wyrazistości. W sumie jednak są to zabiegi nudne i jednowymiarowe, obraz bowiem nie rozwija tematu, ale stwarza przeżycia zastępcze. Jeśli bowiem poprzez takie zabiegi pisarskie chce się czytelnika przekonać, że Roman Michalec jest głodny, lub że doznaje rozlicznych cierpień, czy wręcz przeżywa wstręt do otaczającego go środowiska — to dlaczego czynić się to ma w manierze mikroopisów, w których eksponuje się szczepek, ślinotok czy w ogóle wszelką lepkość.

Być może, że pisarz chce poprzez takie zabiegi przekonać nas o tym, że jego bohater, Roman Michalec, jest neurastenikiem z tendencjami umiarkowanej i głęboko skrywanej agresywności w stosunku do kolegów i otoczenia, być może poprzez maniacką persewerację pewnych motywów fizjologicznych chce utwierdzić czytelnika w przekonaniu, iż narrator jest psychopata.

W prozie Loebla można dostrzec jeszcze inną tendencję, która nie zawsze tworzy wartości artystyczne. Chodzi o zjawisko małego realizmu. Zwrócił na to uwagę Jan Grygiel, recenzując „Kataraktę” i „Upał”. Rzecz w tym jednak, iż jest to znamie pisarstwa Loebla, a nie miara wartości. Jeżeli bowiem założymy, że głównym ośrodkiem dobrego pisarstwa są postacie literackie, a w tym zakresie prawda psychologiczna, to w tym aspekcie „Katarakta” Loebla mieści w sobie maniere zbędne opisywania.

Oto kilka przykładów owej tendencji:

„Położyłem rękę na ramieniu Izy. Pod palcami poczułem zgrubienie tasienki ramączka” (str. 81).

„Weszliśmy za róg. Dwaj robotnicy w niebieskich drelachach gestem trębaczy przyknieśli do warg butelki z piwem. Patrzyłem, jak pod napinającą się coraz mocniej skórą opalonych szyi poruszają się ich grdyki” (str. 85).

Niekiedy styl myślenia i zapisu prezentowany przez Loebla ma w sobie posmak śmieszności:

„Młoteczki w skroniach nabrały życia, serce na moment zmyliło rytm” (str. 9).

„Widok moich wydrukowanych wierszy ożywił w skroniach niepokojące mnie od kilku godzin młoteczki” (str. 11).

Tak więc w owej mikropowieści powstało zbyt dużo banału i narracyjnej „waty”.

Jest jeszcze gra pozorów. Mówiono o tym, że Loebł umiejętnie konstruuje plany czasowe powieści, że wpał na ciekawy pomysł wyodrębnienia jednej z płaszczyzn kursywą, ale nikt nie zwrócił uwagi na fakt, jak niewiele się różnią od siebie owe plany. Wszystko w tej książce dzieje się po to, by było dziwnie. Bowiem, kiedy w „Dziwnej zabawie” R. Villanda napatykamy fragmenty wyodrębnione kursywą, to stanowią one arcyciekawy komentarz intelektualny do dziejących się zdarzeń. Natomiast w książce Loebla owe fragmenty są afunkcjonalne, albowiem od pierwszego fragmentu wiadomo, że R. Michalec jest chory i że dzieje się to w innym planie czasowym. Każdy następny fragment niczego nie zmienia, można by się bez nich obejść, w sumie są to bardzo nudne partie powieści, a co najgorsze, nie wprowadzają tak potrzebnych w tym typie powieści elementów intelektualnych, których, jak wiadomo, pozbawiony jest także tekst „główny”.

Czy nie można by tej książki napisać prościej bez zbędnych i pozorujących nowoczesność udrznień? Można by — oczywiście, ale Loebł pragnie per fas et nefas być pisarzem nowoczesnym i na to nie ma rady. I aczkolwiek pomysł narracyjny wziął prawdopodobnie z „Dziwnej zabawy” R. Villanda, to jedynie „napemil” go płacziwym liryzmem. To zatem, co w książce francuskiego pisarza jest nowoczesne i odkrywcze, u Loebla jest tylko pozorem nowoczesności. Poza-rem, ponieważ możliwości nawet

mikropowieści są duże i w dziedzinie treści, i w dziedzinie sztuki, jeśli powieść nie powieła, albo nie kształtuje manieri, jeśli w powieści autor świadomie rezygnuje z jednowymiarowego opisywania na rzecz podtekstów. Loebł nie poszedł w tym kierunku, a suma prawdy o życiu grupy młodych pisarzy wrocławskich jest i uboga, i kontrowersyjna.

W każdym utworze literackim przykuwa uwagę odbiorcy nie tylko sztuka pisarska, lecz także struktura osobowa pisarza, jego postawa wobec życia, którą pisarz prezentuje poprzez swoją „obecność” w dziele. W „Kataraktach” narratorem i zarazem bohaterem „pozytywnym” jest R. Michalec. Nie ulega wątpliwości, iż jest on także porte parole autora. Jakże prawdy o młodym, wrocławskim środowisku pisarskim prezentuje nam zatem Loebł, o czym chce nas przekonać. Wydaje się, że najtrafniej potrafił ukazać klimat tych kręgów profesjonalnych, dla których brak wymiarności własnych dokonań jest jednym z głównych źródeł moralnych cierpień. Gdy dodamy do tego stany wręcz patologicznej abulii — nie dziwnie się, iż rodzi się w tych kręgach albo postawa pokory, albo niepomiernego zarozumiałstwa, albo wręcz buntowniczego zagubienia.

Jednakże nie te momenty dominują w powieści. Loebł pragnie przekonać czytelnika, że środowisko młodych pisarzy wrocławskich z lat minionych, ale niebyłby odległych, to środowisko lumpów, „cyganów”, programowo „uprawiających” alkoholizm, środowisko nieszkodliwych oszustów, którym Loebł zabronił myśleć. Jeśli cokolwiek w tej sferze życia się dzieje, to są to zazwyczaj banały, taniutki filozofia, taniuchny dowcip. I w to się po prostu nie wierzy. Czuję się, iż Loebł okaleczył prawdę życia, nawet bowiem mierni grafomani mają ciekawszy świat przeżyć i myśli niż Chalupka, Buła, Hrabia, niż Roman Michalec, z którym początkowo Loebł nie wie co zrobić, ale w końcu go ocala, by uzyskać tzw. bohatera pozytywnego, który w kręgu potwornej anarchii życia odnalazł własną drogę.

Loebł ocala Michaleca poprzez „lament” nad biedakiem, patos moralnych zapewnień oraz poprzez wstręt, jaki Michalec odczuwa wobec środowiska młodych pisarzy. Oto niektóre tylko postawy ludzkie, zarejestrowane przez Loebla w „Katarakcie”: lekceważenie, poza, maska, zgrzywa, nieufność, wrogość, zawist, kłamstwo, obłuda, niewiara itp. Ale dominujące przeżycie, które pozostaje po lekturze „Katarakty”, to poczucie niesmaku wobec pogardy, którą Roman Michalec z pozycji „nadezłowieka” hojnie odziera swoich kolegów. Żyje z nimi w pozornej przyjaźni i coraz bardziej wewnętrznie ich zdradza. Puste artystycznie miejsca „Katarakty” zostały wypełnione nudną powagą „nadezłowieka”, który miarą pogardy ocenia świat.

Być może w tej aurze, prawie neurotycznej, leży jakiś głębszy problem... Pozostawić to jednak należy dalszym przemysleniom cierpliwych czytelników „Katarakty”...

◆ Polemiki ◆ Dyskusje ◆ Polemiki

## PLANOWAC ALE JAK?

Artykułem inż. Zdzisława Malickiego, dyrektora naczelnego Huty „Stalowa Wola” — „Przybliżyć kształcenie do produkcji” (tytuł pochodzi od redakcji) kończymy dyskusję o programowaniu rozwoju szkolnictwa zawodowego, zainicjowaną artykułem red. Zdzisława Koziola — „Planować, ale jak?” („Widnokrąg” nr 39).

Założymy, że z zaproszenia do wymiany poglądów nie skorzystali przedstawiciele innych przedsiębiorstw i instytucji, co niewątpliwie przyczyniłoby się do skuteczniejszego rozwiązania wielu spraw. W publikowanych dotychczas wypowiedziach poruszono sporo istotnych, często kontrowersyjnych zagadnień, w tym wykraczających poza zasadniczy temat — programowania rozwoju szkolnictwa zawodowego. Mamy szczególnie na uwadze aspekty społeczne, jak problem młodzieży, która nie znajduje zatrudnienia w wyuczonym zawodzie, młodzieży, która po ukończeniu szkoły podstawowej w ogóle nie kontynuuje nauki itp. Wyłoniła się także kwestia kształcenia dziewcząt. W najbliższym czasie zamierzamy przeprowadzić dyskusję w redakcji z przedstawicielami zainteresowanych instytucji; o jej przebiegu poinformujemy czytelników.

REDAKCJA

Zdzisław Malicki

## Przybliżyć kształcenie do produkcji

Poruszony na łamach „Widnokregu” problem planowania w szkolnictwie zawodowym jest niezmiernie istotny zarówno z uwagi na szybkie tempo rozwoju techniki, przemysłu, jak i zwiększenie stopnia nasycenia załóg fabrycznych absolwentami szkół.

Artykuł red. Zdzisława Koziola „Planować, ale jak?” oraz spowodowana nim dyskusja, wywołała we mnie wrażenie, że sprawy planowania w szkolnictwie traktują się na równi z planowaniem w przemyśle, handlu itp., tj. dążeniem do zbilansowania popytu z podażą. Tymczasem istotną rolę pełni tutaj „przedmiot” planowania, w jednym wypadku o wartości wymiernej zarówno w funkcjonalnym, jak i społecznym pojęciu, a w drugim — materiał żywy, będący zarówno źródłem, jak i celem działania.

Jako kierownik przedsiębiorstwa proponowałbym zastanowić się w pierwszym rzędzie, czego oczekujemy od szkolnictwa, co otrzymujemy, a wówczas ocenić metody planowania. Otóż młody absolwent szkoły zawodowej — zasadniczej i technikum — po przyjęciu do zakładu ma możliwość stanąć na stanowisku: pracownika fizycznego, pracownika dozoru średniego (ustawicząca, mistrza) lub technicznym — młodszy technolog, konstruktor itp.

Jakie ma przygotowanie do tych funkcji? Jako pracownik fizyczny w zakładzie o seryjnej produkcji absolwenci szkół zawodowych (oprócz przyzakładowych) w pierwszych sześciu miesiącach osiagają mniejszą wydajność od zupełnie nie przygotowanych do zawodu. Wynika to z szerszego zainteresowania się obrabiarką, procesem technologicznym, konstrukcją przyrządów itp., co pociąga za sobą stratę czasu.

O ile zainteresowania się utrzymują, absolwent (osiągając niskie zarobki) stara się przenieść do biura technologicznego lub konstrukcyjnego. Natomiast ci, którzy pracę zaczęli wykonywać bezmyślnie, najczęściej tracą możliwość awansu, wpadając we wtórny „analfabetyzm” techniczny.

Pomijam tu kwestię środowiska i wychowania, wyraźnie kierującej absolwenta na stanowisko umysłowe. Przydatność zatem absolwenta do pracy fizycznej — zaznaczam, że wyłączam z rozumowania produkcję jednostkową, np. w narzędziowni czy wydziałach remontowych, gdzie sytuacja kształtuje się krańcowo odmiennie — jest co najmniej względna.

Do pracy na stanowiskach dozoru średniego brak mu najważniejszego — praktycznych wiadomości i umiejętności kierowania zespołem ludzi. Z tego też względu najmniejszą oporę ze strony administracji zakładu są w kierowaniu absolwentów do biur technicznych. Ambitne jednostki po jakimś czasie odczuwając brak praktyki przechodzą do „ruchu”, uzdolnione wybijają się w czysto technicznych problemach, często uzupełniając wykształcenie. Pozostali zaś są przeciętnymi pracownikami, trzymającymi się raz ustalonego poziomu technicznego. Taka sytuacja powoduje osłabienie poziomu dozoru średniego, jednego z najistotniejszych elementów zarówno zarządzania, jak i wdrażania nowej techniki.

Z drugiej strony pojęcie specjalizacji na poziomie szkoły średniej jest moim zdaniem bardziej umowne niż faktyczne. 11 lat nauki oznacza kilkumiesięczny okres uczenia się przedmiotu potrzebnego w pracy zawodowej i w porównaniu do 40-letniej praktyki zawodowej nie ma istotniejszego znaczenia.

Nam zależy, by szkoły zawodowe stwarzały podstawy do samodzielnego pogłębiania wiedzy, umiejętność rozpracowywania zagadnień nowych dla absolwenta (bo tylko z takimi się zetknięcie), by poznał drogę, jaką winien przejść w zakładzie, by stać się fachowcem w obranej dziedzinie. Wyrobić w nim szacunek dla wiedzy praktycznej i umiejętność współzycia, kierowania zespołem ludzkim, konieczność pogłębiania wiedzy (podkr. redakcji).

Logicznie rozumując, powinno się planować szkolenie branżowe, np. mechaników, a nie „mechanik-ślusarz”, „tokarz” czy „frezer”. Dawać im świadectw, np. ślusarza, często jest pierwszym źródłem rozczarowania i zniechęcenia, gdyż zakład akurat takiego „fachowca” nie potrzebuje i proponuje stanowisko tokarza.

Na dyskusji, moim zdaniem, zażyło właśnie pojęcie „fachowca” w danej dziedzinie — stał problem planowania, a uważam, że to tylko problem metod szkolenia, no i naturalnie — globalnej ilości fachowców, ciągle jeszcze niedostatecznej. W nieco innej sytuacji znajdują się absolwenci szkół przyzakładowych. Szkoły te kształcą kadrę zawodową dla własnego zakładu; uczeń od drugiej klasy przez trzy dni w tygodniu odbywa praktykę na wydziale produkcyjnym. Ma możliwość nie tylko obserwacji procesu produkcji, ale czynnie w nim uczestniczyć.

Tak samo jak pracownicy zakładu zaznajamiają się z aktualnym stanem technicznym, przyzwyczajają się do tempa produkcji, zwyczajów środowiska, przepisów. Jest to czynnik silnie przemawiający za tym by w planowaniu zagęścić się szkół przyzakładowych. Mniej znaleziony się kłopoty z planowaniem w skali ogólnokrajowej?



Rzeszowska szopka Władysława SZWAJI w Zakładowym Domu Kultury WSK w Rzeszowie. Fot. M. KOPEĆ



◆ Dyskusje ◆ Polemiki ◆ Dyskusje ◆ Polemiki ◆

Zbigniew Wolf

# STUDENTÓW „ARKADIA SZCZĘŚLIWA”?

Coraz częściej gości na łamach „Widnokragu” problematyka studencka. Nie jest to zjawisko przypadkowe. Fakt ten świadczy o słusznym i uzasadnionym podejmowaniu przez miejscową publicystykę tematu dla Rzeszowa szczególnie aktualnego i wartego rozważań. Student — „istota nieznaną” — zyskał sobie prawo obywatelstwa w codziennej obserwacji i świadomości tutejszego społeczeństwa. Życie studenckie — z kręgu mitologii kształtowanej przez literaturę lub sądami wywodzącymi się ze środowisk o starej akademickiej tradycji, zstąpiło do rzeczywistości dnia powszedniego.

Utworzenie dwu wyższych uczelni w Rzeszowie stanowi akt swoistej nobilitacji kulturalnej dla tego miasta. To zobowiązuje nie tylko do administracyjnej troski o prawidłowy rozwój i stabilizację młodych placówek, co jest koniecznością aż nazbyt oczywistą. Zobowiązuje także, a może już teraz — przede wszystkim — do ciągłego zainteresowania problemami wychowawczymi i ideowymi nie okrzepłego jeszcze środowiska. To, że znajdujemy ono in statu nascendi, stwarza zasadniczo określone szanse do wygrania. Jak też sygnalizuje możliwe niebezpieczeństwa. Te ostatnie wiążą się z infiltracją pewnych niewłaściwych postaw o rodowodzie burżuazyjnym, których przejmowaniu i upowszechnianiu należy przeciwdziałać.

Tendencje takie ujawniają się zwłaszcza w konsumpcyjnym stosunku do życia, rozluźnieniu norm obyczajowych, przejawach arogancji, braku kultury osobistej itp. Nawet przyjmując sporadyczność tego rodzaju wpływów, należy się wszakże z nimi liczyć.

Specyfika studiów wyższych nie ułatwia zadań wychowawczych, mających na celu eliminację tych niepożądanych zjawisk. Argument „dorobocności” studenta nie zawsze jest w sensie ideowo-moralnym sprawdzalnym i kwestii nie wyczerpuje. Stąd konieczność jednolitych i zbieżnych wysiłków zarówno kadry naukowo-dydaktycznej, organizacji partyjnej i organizacji młodzieżowych, stąd potrzeba zainteresowania ta problematyka prasy i radia. Czynniki te mogą we właściwy sposób oddziaływać na kształtowanie się profilu młodego środowiska studenckiego. Pomocna jest także czujność tzw. opinii społecznej, będącej jednym z ogniw systemu „kontroli społecznej”, któremu bez wątpienia — jako pewna grupa — społeczność studencka podlega.

Termin „kontroli społecznej” w odniesieniu do sygnalizowanej tematyki został już na łamach tego pisma użyty i spowodował wypowiedzi polemiczne. Dyskusja, która miała miejsce przed kilku tygodniami, wywołała zapewne zainteresowanie czytelników, ujawniając z jednej strony wspólnie dla wszystkich wypowiedziających się autorów cenne i niekłamane intencje, z drugiej zaś ukazała kontrowersyjność sądów.

Zgoda. Bez tego nie byłoby polemiki. Cały ambaras wszakże w tym, że w drodze do wspólnego celu, dyskusja zabrnęła w ślepy zaułek nieporozumienia merytoryczno-terminologicznych, lub — jeśli będzie kontynuowana w tym duchu — może jej to grozić. W obawie przed sklerotycznym utworem należałoby wprowadzić w jej obieg pewne podstawowe ustalenia socjologicznej nomenklatury, a co ważniejsze — wyliczyć przedmiot sporów poza dotychczas przyjęty zakres problematyki. Zabieg pierwszy grozi utrataniem abstrakcyjno-teoretycznego charakteru polemiki i nie uwolni go od akademickiej nudy, zabieg zaś wtóry wydatnie konieczny, bardziej bliski publicystyce.

Przebieg omawianej dyskusji rysuje się w kształtach niepełnej, swoistej trójki: artykuł St. Gebali **„Potrzeba społecznej kontroli”** („Widnokrag” nr 4) stanowił tezę, P. Zbikowskiego **„Społeczna kontrola czy integracja”** (tamże, nr 43) jej antytezę, wreszcie

wypowiedź G. Ostasza pt. **„Aby nie wymknęła się nam wielka szansa”** (nr 46) jest publikacją, której niestety za syntezę uznać nie można, co najwyżej za dość nieprecyzyjne poparcie argumentów Gebali.

Czytelnik zechce mi wybaczyć użycie w tym miejscu nie całkiem właściwej metafory, zacierpniętej nieoczekiwanie z terminologii Hegla, ale śpieszę wyjaśnić, że jest to wykład siołażski; definicja „kontroli społecznej” wyrażona przez Ostasza, wibruje tęsknotą do poszukiwania absolutu na bezkresach, natomiast wywody Zbikowskiego określone tam jako „s sofistyczne”, jawią się w kategoriach konstruktywnych, logicznych i treściowych, których to zalet pozbawione są w pewnym stopniu pozostałe wypowiedzi.

Dotąd za główny filar dyskusji uważać należy artykuł P. Zbikowskiego. Pomimo że nie on polemikę zainicjował, wydało się, że rzecz ta napisana z dużym „wyczuciem socjologicznym” i werwa, zawiera wiele słusznych i właściwych sugestii, które można by tylko pomnożyć o nowe i bardziej już skonkretyzowane propozycje. Zawiera również punkty sporne. Istota w tym — z jakimi kryteriami wiązać się do sporu?

Zajęcie stanowiska mediacyjnego jest tu dość kłopotliwe i nie to jest intencja niniejszego artykułu. Adwersarze mają swoje racje: po jednej stronie bliższe podejściu praktycznemu acz z pewnym materii i rzeczy pomieszczeniem, po drugiej — więcej teoretyczne, z punktu widzenia socjologii słuszniejsze. Podpisany nie rości sobie pretensji do autorytatywnego rozwiązania problemów ani do naukowości wywodów i jako nie-socjolog rezygnuję z uzurpowania sobie praw do takich, fałszywie odczytanych intencji. Subiektywizm sądów, jako zbawienia cecha polemiki niech więc i w tym przypadku zostanie zachowany. Wymierzanie racji byłoby tu zabawnym nieporozumieniem.

Proponuje zatem inne ustalenie kwestii, w dwu pryzmatach widzenia: teoretyczno-poważnym i praktyczno-przekornym. Ten drugi jest niewątpliwie właściwy Gebali. Nie takie pewnej sympatii również do tego sposobu; praktyczniej bowiem będzie, jeśli gościnne łamy „Widnokragu” zostaną nadal otwarte dla naszej lokalnej problematyki studenckiej, bo w niej kryją się wciąż bogate możliwości eksploatacyjne, szczególnie ważne dla ambitnego, integrującego się środowiska kulturalnego Rzeszowa.

Ale czas przejść do wyjaśnień. Zbikowski wychodzi od rzeczowego streszczenia tezy Gebali a następnie, w sposób przemysłowy z nimi polemizuje. Patrząc na określony sposób dodabym: trafnie. Jego wnioski sprowadzają się zasadniczo do następujących głównych twierdzeń:

- 1) „kontrola społeczna” w odniesieniu do środowiska studenckiego istnieje, jest nawet silniejsza niż w obrębie grup innych;
- 2) przedmiotem dyskusji może być m. in. skuteczność prowadzonej pracy wychowawczej w tym środowisku oraz niektóre anomalie obyczajowe w nim występujące;
- 3) bezpośrednia infiltracja społeczeństwa w wewnętrzne sprawy tego środowiska jest nieuzasadniona i bezpodstawna;
- 4) opinia społeczna (pomijając enigmatyczność tego terminu) nie jest powołana do bezpośredniego nadzoru, jak również do kwestionowania odmiennosci profesjonalnej tej grupy;
- 5) opinie o „hermetycznej izolacji” społeczności studenckiej są wybrzmienia i nie znajdują potwierdzenia w przejawach życia społecznego studentów;
- 6) nieudokumentowany sąd o przypadkowej wyboru studiów przez młodzież należy zweryfikować; tęsknota do „azyłu”, jaki studia stwarzają, przejawia się w wypadkach sporadycznych i tendencje te nie mogą być reprezentatywne;
- 7) warto pokusić się o sprawdzenie, kto i w jakich intencjach jest nosicielem pejoratywnych i złośliwych sądów o studentach;
- 8) należy akceptować próby coraz większego zbliżenia środowiska studenckiego do społeczeństwa, ale ten proces integracyjny winien być obopólny, a nie jednostronny.

Tyle Zbikowski.

Z wszystkimi wyżej przedstawionymi sadami wypada się w zasadzie zgodzić, a szczegółów dotyczące wątpliwości nasuwają się tylko w odniesieniu do niektórych uzasadnień i podanych na nie przykładów. Zgoda ta może być poparta argumentami naukowymi socjologii, którymi w potrzebie służyć. Sa to rzecz jasna sady kontrowersyjne w stosunku do wypowiedzi Gebali. Dla uniknięcia dalszych w tym kierunku nieporozumień warto chociażby wskazać **Elementarne pojęcia socjologii** Szczepańskiego (W-wa 1965, s. 117) lub stosowne partie **Zarysu socjologii** Baumana.

Pojęcie „kontroli społecznej” nie jest bowiem zlekkiem frazeologicznym i w jego treści mieści się konkretny, znany socjologom sens. Ponieważ żaden z autorów definicjami się nie posłużył pomijając już celowość tego zabiegu, ani w ich świetle problemu nie stawał, więc dla ominienia raf terminologicznych lekturę tę ośmielam się przypomnieć.

Przyzna ona w wielu miejscach rację Zbikowskiemu, ale nie dyskwalifikuje intencji Gebali. Czynnie tym ułkon w stronę teorii. Jednocześnie mrużąc filuternie oko. „Trochę a-rebours. Gdyż w artykule Gebali wyczuwam nutę autentycznego niepokoju, przekornej refleksji, choćby nawet wbrew teoretycznym argumentom. Nutą ta jest mi bliższa. Odrobinie na zasadzie boczacego się „enfant terrible”: czy też te wszystkie mechanizmy socjologiczne tak nienagannie funkcjonują, że można toczyć spokojnie dość klasyczne spory? Czy może pomijać balast teorii, jak gdyby jej nie wierząc, szukać wciąż sprawdzania w konkretnych, zaważonych faktach? Czy nie lepiej nazur publicystyki skierować na własne podwórko, tropiąc namacalne realia rzeszowskiego, studenckiego świata?”

A jest ich wiele: od prozaicznych stółek i warunków mieszkalnych w domach studenckich począwszy — po nasycone przykładami kwestie „anomali obyczajowych, jakie jeszcze niestety występują w tym środowisku”, po zagadnienia dydaktyczne, ideologiczne i naukowe wreszcie. Wszystko to proponuje rozegrać na niższej płaszczyźnie abstrakcji.

Niebagatelny problem postaw ideowych i moralnych, w tym ujęciu nabiera bardziej wyrazistych konturów i lepiej przysłuży się profilaktyce oraz terapii. Wiele przykładów, słusznie zresztą wysuniętych przez Zbikowskiego, funkcjonuje trochę mechanicznie w rzeczywistości, a o referatowe uproszczenia nie trudno przy fascynacji teorią. Zagadnienie „hermetycznej izolacji” nie jest całkiem bezsporne, choć łatwo go zbić wieloma, sztucznymi jednak argumentami. Przejawy kontaktów zewnętrznych należałoby szukać przede wszystkim w tych sytuacjach, które wydatniają czyste intencje i wypływająca z nich inicjatywa własna studentów, psychologiczną potrzebę więzi ze społeczeństwem. Różne czyny i akcje podejmowane spontanicznie dostarczyć by tu mogły ważkich przykładów. Ale — powtarzam: szczerze, spontanicznie, nie „odgórnie” i „w ramach” programowej, określonej działalności.

Szukajmy i tu własnych tez do obrony. Z ostrożnym sceptycyzmem, ale jednak warto; obserwujmy WSP, WSI, SN... Z kalibru uogólnień trzeba strzelać od świateł. Teraz jeszcze za wcześnie. Niektóre twierdzenia Gebali można by odstraszyć statystyką. Nie wiem czy da się przekonać. Może zresztą nie warto. Statystyka nie można wyznać bowiem wszystkich niepokojów. Badania, ankiety, sprawozdania — słusznie. Coś z prawdy jednak jest w tym „azylu”.

**CIĄC DALSZY NAST.** 6



Minęły w miarę przyzwoicie; przyniosły nawet trochę niespodzianek i zupełnie sympatyczną zapowiedź, że Rzeszowskie znajdzie swoje miejsce w krakowskiej „Kronice”. Ponieważ to ostatnie cieszy mocno piszącą te słowa, bo przed dwoma tygodniami protestowała publicznie przeciw kompletnemu brakowi materiału reporterskiego z naszego województwa i ponieważ również publiczną odpowiedź wraz z zapewnieniem, że rzecz się zmieni „od Kroniki” dostała — przeto jeszcze raz podaje ją do Waszej wiadomości i tym podwójnym zobowiązaniem „Kroniki” kończy sprawę w mowie i piśmie, czekając wraz z mieszkańcami Rzeszowszczyzny na słowo, które stanie się obrazem.

Może nie coraz ciekawsze, bo właściwie takie określenie niewiele mówi o istocie programu, ale coraz mocniej szukające problematyki codziennej ludzkiej pracy, coraz widoczniej nastawione na społeczny sondaż tej codzienności są „Dobre wieczory” z zapytaniem, jak minął dzień. Ostatni z cyklu przygotował Tadeusz Koliński z pomocą kilku fotoreporterów i zajął się w nim warunkami zimowej pracy oraz związanymi z nimi nieodłącznie „pomocami” — odzieżą ochronną, ciepłą strawą, słowem — zainteresowała go sfera działalności społecznej przedsiębiorstwa.

I niestety okazało się, że niewesoło minął ten dzień, że setki ludzi pracują w mokrej odzieży własnej lub tandetnej przedsiębiorstwa, że setki w ogóle nie słyszały o ciepłej zupie czy kawie, że w kilkunastostopniowym mróz uganiają po zaśmieconych drogach i odludziach posilając się suchą kanapką przygotowaną w hotelu robotniczym przed wyjazdem, że obiad jedzą nocą po powrocie, że nie mają kąta do ogrzania zziębniętych rąk, że rezygnują z obiadów przygotowywanych w ramach dożywiania, bo szkoda czasu i nóg, by zejść z któregoś tam piętra nowo budowanego wieżowca i zjeść strawę niesmaczną, niskokaloryczną, że...

Ludzie na ogół narzekają lubią; ludziom na ogół do narzekania niewielkie powody potrzebne — tu było ich wiele, były słuszne, mówity o sprawach, które jak wielkie uogólnienie można byłoby rozciągnąć na wiele przedsiębiorstw, i które nieodwołalnie powinny zniknąć z naszej rzeczywistości. Dzień ciężkiego, zimowego wysiłku robotnika, nie powinien mając w rozgorznięciu na sprawę, które są do załatwienia. — Sugerował to Koliński mocno; czy jednak dysponował materiałem autentycznie dramatycznym — to zupełnie inne zagadnienie. Pytania, jak monotony refren stawiano i jak monotony refren odpowiedzi otrzymywano niemal identyczne. Zda mi się, że mniej komentarza, więcej przemoczonych, rozłączających się butów, jakaś konfrontacja z pracodawcą źle wywiązującym się z powierzonych roli opiekuna socjalnego — oto co dobrze byłoby usłyszeć. Oto co czyniłoby ten potrzebny program publicystyczny nie tylko bliższy życiu, ale przez samo życie ilustrowany.

Obejrzelismy w ubiegłym tygodniu aż dwa włoskie reportaże: jeden o tragedii Florencji, drugi — o sukcesach reżysera i aktora Vittorio de Siki. Przy obydwóch trzeba nam było westchnąć zazdrośnie: cóż za dramatyczne spiętrzenie materiału, cóż za selekcja, oszczędność komentarza w przypadku szalejącej rzeki, rozlewności narracyjnej w opowiadaniu aktora, który jeszcze raz potwierdził swój talent; wreszcie umiejętność dozowanie fragmentów filmowych, zamkniętych przy tym w sensowną całość (czego o fragmentach np. ilustrujących „Syl-

wetki X Muzy” — a więc naszych rodzimych aktorów niemal nigdy powieścić się nie da).

No i wreszcie chciałabym nieco przypomnieć zeszlotygodniową rozrywkę, bo było jej sporo i co najdłuższe, była spora rozpiętość pomysłów: od mikrooperę z librettem Grodzieńskiej po „Księżyc nad Bilbao”, czyli zestaw tekstów brechtowskich, od „Marionetek wielkiego kpiarza” po „Listy śpiewające” i „Giełdę giełd”. Dlaczego ta ostatnia mieści się oficjalnie w ramach publicystyki — nie wiem i nie podejmuję się dociekać. Że jest to przy okazji bardzo przeciętne pół podziwy bardzo słabych piosenek — przegląd dotychczasowych pięciu giełd był tego najlepszym dowodem. I zaiste dość to dziwne, że komisje oceniające bez przerwy mówią o słabości omawianej piosenki i jednocześnie mają odwagę podejrzewać ją o szlagierową karierę; że dyrektorka „Estrady” najpierw nazwała walczyk śpiewany przez Polomskiego bezspornym szlagierem, a na zakończenie swojej wielce inteligentnej wypowiedzi wyraża wątpliwość powzeczna: „czy jest wśród nich szlagier — nie wiem”... Odpowiedzieć pytaniem: czy jest tu konsekwencja? — zdawałoby mi się niszczeniem przeciwnika, który już dawno się poddał.

O Grodzieńskiej, której pewnie przyświecały idee satyrycznego pamfletu na operę, napiszę, że zrobiała go z żadnym dowcipem i dysponowała szeregiem świetnych wykonawców. Stąd pewnie patrzyłam na tę bzdurkę czasem z usmiechem; boże bron jednak przed kontynuacją tego gatunku, bo aamy się zwariować.

Jacek Szczek natomiast przygotował nam wiaowisko smacznego, jego „Księżyc nad Bilbao” świecił niefałszowanym blaskiem, szkoda tylko, że wzeszedł tak późno, kiedy zdążył nas wyekspluatować artystycznie hemingwayowski dźwięk — historia tyleż szawa, co dobrze zrobiona, z napięciem przez dzieci i starców oczekiwana. Dodam jeszcze, że to był Brecht znakomicie spreparowany, świetnie podany, z dyszansem, z autonią, z dramatyzmem i akcentami społecznymi. Warto byłoby go powtórzyć o ludzkiej porze.

Z wrocławskich zaś marionetek Shawa jakże nie wspomnieć komentatora tak prześwietnego, jak Wojciech Dziadoszycy? Była taka piosenka o wale obiecującym tytule „za jeden uśmiech twój”; jeżeli nie została skomponowana zbyt dawno — to autor jej pewnie myślał właśnie o uśmiechu pana Wojciecha Dziadoszycy.

O „Listach śpiewających” Agnieszki Osieckiej lepiej nie pisać. Długo darzyłam ten program i uwaga, i sentymentem; w ostatnim była tylko jedna tytułowa piosenka, niezły pomysł, nie najświetniejsza wykonanie i... niestety, nie więcej. Z talentem bowiem jest tak, że nie można eksploatować go w nieskończoność.

*Krzysztof*

P. S.

Było jeszcze wiele drobniaków, które mna niemal wstrząsnęły; np. w niedzielnym „Przemianach” — „opasowe bydlę” i „wydojowa obora”; jeszcze na tle zdjęć Joanny Rawik — wiele mi ulubionej, śpiewała Bogdana Zagórska — mniej mi ulubiona, no, ale za to już nas przeproszona. Za wydojową oborę i opasowe bydlęta (śnię po nocach, czym one się opasowują; może pasem łowieckim?) prof. Doroszewski winien wytoczyć głośny proces telewizyjny, co Mu niniejszym bardzo skromnie podpowiadam.



Eugeniusz Kabac: **ZÓLWIE**. Wwa 1966 Iskry, s. 250, cena 14 zł.  
 Młody pisarz z zagłębia przemysłowego otrzymuje stypendium do Warszawy. Poznaje środowisko literackie w stolicy Polski, widziane w nieco zniekształcającym zwierciadle. Warte przeczytania, bo współczesne.

Henryk Jachimowski: **JASZCZURY**. Wwa 1966, Iskry, s. 162, cena 10 zł.  
 Cztery utwory młodego pisarza. Najciekawsze tytułowe, opisujące środowisko wiejskiej szkoły z wszelkimi zmi aspektami tej mikrogrupy wtopionej w tło współczesnej wsi.

Raymond Maufrais: **ZIELONE PIEKŁO**. Wyd. III. Wwa 1966, Iskry, s. 174, cena 9 zł.  
 Nadtytuł pamiętnika brzmi: **Dramat w podzwrotnikowej puszczy**. Autor, młody 22-letni francuski dziennikarz udał się w 1949 r. samotnie na niebezpieczną wyprawę odkrywczą przez puszcze Gujany.

Po długich poszukiwaniach odnaleziono po nim tylko pamiętnik...

Stanisław Strumph Wojtkiewicz: **AGENT NR 1**. Wyd. IV. Wwa 1966, Iskry, s. 220, cena 15 zł.  
 Ciekawa, żywo napisana opowieść o Jerzym Iwanowic, bohaterze Polski i Grecji. O walce z Niemcami, o mądrym wojennym wywiadzie i wielkim sabotażu. Przyczynek do dzieł II wojny światowej.

Friedrich Dürrenmatt: **KRAKSA**. Obletnica. Wwa 1966, PIW, s. 200, cena 15 zł.  
 Kolejne wydania utworów dobrze znanych nam pisarza. „Kraksa” znany ze świetnego widowiska telewizyjnego pt. „Przygoda pana Trapsa”. „Obletnica” łączymy z filmem „Stalo się to w biały dzień”. Obydwa utwory łączy tematyka kryminalna i, oczywiście, świetne pisarstwo.

Ethel Lilian Voynich: **SZERSZEN**. Wyd. VIII. Wwa 1966, Iskry, s. 256, cena 15 zł.  
 Powieść urodzona w 1864 r. angielskiej pisarki osnuta na tle walk o wolność i zjednoczenie Włoch, tłumaczona na wiele języków doczekała się na świecie wiele dziesiątków wydań.

Stanisław Grochmal: **OPIEKA DOMOWA NAD CHORYM PO UDARZE MÓZGU**. Wwa 1966, s. 74, cena 4 zł. PZWL.

Jerzy Pertek: **OD REICHSMARINE DO BUNDESMARINE**. Poznań 1966. Wyd. Poznańskie, s. 422, cena 50 zł.  
 Znaczący i popularny dzieł o problemach marynistyki omawia tym razem zagadnienia rozwoju niemieckiej marynarki wojennej w latach 1918-1965. Ciekawe ilustracje i bibliografia przedmiotu.

Dolores Ibarruri: **JEDYNA DROGA**. Wwa 1966, KiW, s. 464, cena 42 zł.  
 Jest to zbeletryzowany pamiętnik znanej bojowniczkii z faszyzmem La Passionari, na którego tle poznajemy dzieje współczesnej Hiszpanii.

Karol Marks: **TEORIE WARTOŚCI DODATKOWEJ**. Tom czwarty „Kapitału”, część trzecia. Wwa 1966, KiW, s. 740, cena 30 zł.

Jan Bogdanowicz: **JAK CHRONIC DZIECKO PRZED CHOROBIAMI ZAKAZNYMI**. Wwa 1966, s. 36, cena 2 zł. PZWL.

Wanda Rytlowa: **WSZYSTKO O ZEBACH**. Wwa 1966, PZWL, s. 52, cena 4 zł.

Andrzej Korsak, Tadeusz Gleysztor: **NIE DAJMY SIĘ ASTMIE**. Wwa 1966 PZWL, s. 112, cena 5 zł.

Antoni Bielecki: **O NADZĘKACH, KRWAWIENIACH I ZAPALENIACH U KOBIET**. Wwa 1966, s. 40, cena 2 zł. PZWL.



Kalman Segal

## PŁASZCZ

Oboje patrzyli na wystawę sklepową, gdzie stało kilka wytwornych manekinów.

— Kupię ci ten płaszcz w jodełkę — powiedziała kobieta. — Będzie ci w nim do twarzy.

— Nie potrzebuję, żeby mi w nim było do twarzy — odburknął mężczyzna. — W ogóle nie potrzebuję już żadnego płaszcza.

Mówiąc to, oddychał ciężko, dawał w sobie wściekłość, wolał, żeby ona raczej spostrzegła jego gniew niż miałaby odgadnąć jego żal.

— Za tydzień, dwa, spadnie śnieg. I ten płaszcz ci się przyda. To jest ciepły płaszcz i wcale niedrogi. Chciałeś przecież mieć taki płaszcz.

— Chciałem, ale teraz już nie chcę! — krzyknął. — Dlaczego mnie denerwujesz?

— Przez całe lato oszczędzałam — powiedziała smutno kobieta. — A teraz nie chcesz go mieć. Taki piękny zimowy płaszcz. Z futrzanym kołnierzem.

— Niech szlag trafi wszystkie kołnierze i wszystkie płaszcze! — zaklął mężczyzna zgrzytając zębami. — Dlaczego udajesz, że niczego nie rozumiesz? Dlaczego udajesz?

— Ja nie udaję — broniła się kobieta. — A ty nie krzycz. Ludzie na nas patrzą.

— Chodźmy. Chcę już iść.

— Nie bądź taki — prosiła ko-

bieta. — Nikt nie wie, kiedy umrze. Czy ty wiesz, kiedy umrzesz? Czy ja wiem, kiedy umrę?

— Nie ma cudów — powiedział mężczyzna. — Wszyscy wiedzą, jak długo to może potrwać. I ty też wiesz.

— Nic nie wiem. Wiem tylko, że zawsze chciałem mieć taki płaszcz. A teraz, kiedy już mam pieniądze, złościsz się.

— Jesteś dobra — uspokoił się mąż. — Nie złościsz się na siebie. Zły jestem na cały świat.

— Jeszcze wszystko będzie dobrze — pocieszała. — Cyganka powiedziała, że wyzdrowiejesz. Pozwól mi kupić ten płaszcz.

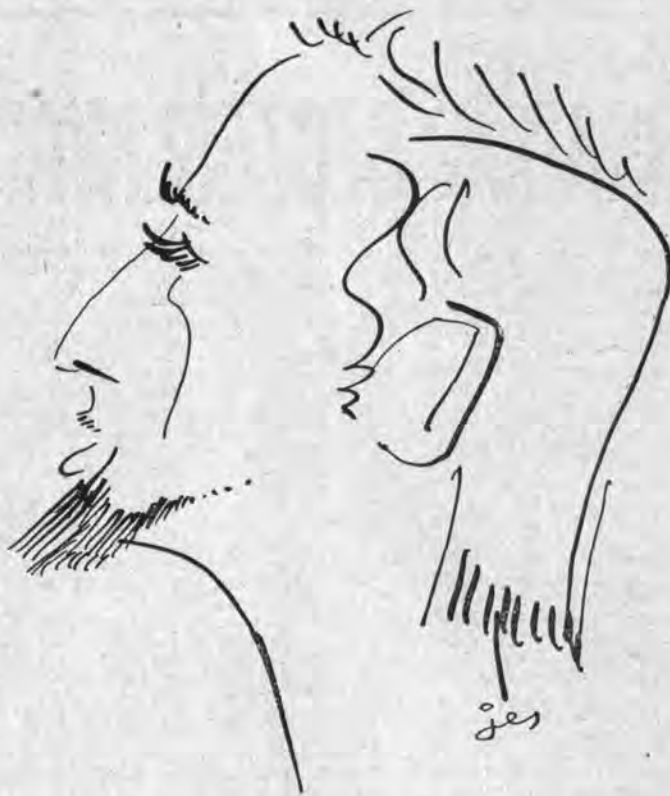
— Cyganka powiedziała? — zapytała.

Ujął ją pod ramię i powiedział: — Zastanowimy się jeszcze. A teraz chodź. Pójdziemy do kina.

Poszli powoli w stronę śródmieścia, omijając wzrokiem witryny sklepów.

— W kinie jest dobrze — pomyślała kobieta. — W kinie nie muszę kłamać. Przez dwie godziny mogę sobie pozwolić na to, żeby mnie nie okłamywano.

Przycisnęła do siebie ramię mężczyzny i uśmiechnęła się do niego. On popatrzył na nią z boku: była zdrowa i piękna. Daleka.



PIOTR KONDRACIUK — członek KKMP w Rzeszowie

Rys. J. SIENKIEWICZ

## Studentów „Arkadia Szczęśliwa“?

(Ciąg dalszy ze str. 5)

Moje obawy rodzą się gdzie indziej. Bezpłatność wyższego wykształcenia wraz z systemem różnego rodzaju świadczeń dla studentów sprawiły, że studia wyższe są urządzeniem dość luksusowym na tle skromnej dotąd stopy życiowej społeczeństwa. Rygor natomiast i zobowiązania łączące się ze zdobywaniem wyższego wykształcenia są w naszym kraju niższe niż w sąsiednich państwach socjalistycznych (potwierdzają to publikacje socjologów). Nasi milusińscy przyjmują nie raz świadczenia jako należną sobie dаниnę od państwa, jako coś wysoce naturalnego, co nie musi pociągać szczególnych zobowiązań. I ta postawa budzi troskę. Stąd rodem chyba polski młot o studenckiej „Arkadii Szczęśliwej”, wiodący na niebezpieczne meandry. Ale to już odrębny temat. Oby na tych łamach zagoscił.

Piszacemu czas kończyć. Z poczuciem niewyczerpania tematu; gorzej, z świadomością nieujawnienia tematu zasad-

## OD REDAKCJI

Artykuł Zbigniewa Wolfa w pewnym sensie traktujemy jako podsumowanie pierwszego etapu dyskusji zapoczątkowanej artykułem Stanisława Gębali, który poruszył ważne ze społecznego punktu widzenia problemy środowiska studenckiego. Dyskusja ta jest jakby częścią — bez przesady rzec można — ogólnonarodowej dyskusji o młodym pokoleniu.

Wydaje nam się jednak, że polemika tocząca się na naszych łamach miała dotychczas zbyt ograniczony charakter, może dlatego, że zabrali głos przedstawiciele jednej tylko uczelni — Wyższej Szkoły Pedagogicznej, a o specyfice środowiska w dużej mierze decyduje chociażby typ szkoły wyższej. W przypadku Rzeszowa specyfikę tę pogłębia młody wiek uczelni.

## Radziecki film w roku jubileuszowym

Nad jakimi filmami pracować będą radzieckie wytwórnie w roku jubileuszowym — z pytaniem tym zwrócił się współpracownik „Izwestii” do przewodniczącego Komitetu do Spraw Kinematografii przy Radzie Ministrów ZSRR Aleksiego Romanowa.

Przygotowania do wielkiego jubileuszu podjęli nasi twórcy już przed kilku laty — stwierdził A. Romanow. 50-lecie Rewolucji poświęciliśmy takie ukończone już filmy, jak „Lenin w Polsce” Sergiusza Jutkiewicza, „Serce matki” i „Wierność matki” M. Dońskiego — o matce Lenina, „26 bakińskich komisarzy” A. Ibrahimowa.

Obecnie w stadium prac montażowych bądź w halach zdjęciowych znajdują się filmy: „Szósty lipca” J. Czulukina o zgnieceniu buntowniczych eserów w 1918 r., „Żelazny potok” — ekranizacja powieści Serafimowicza w reżyserii

niczego. Propozycje końcowe? Owszem. Primo — dla zaspokajania „głodu intelektualnego, jednej z najpilniejszych chorób” — prócz lektur, gdzie się uprawiać również obserwację. Wz bogaca, Fausta Goethego proponuję z dyskusji wyczołać. Już lepiej Młode Pokolenie Zaohodu Ernsta Fischera. Też klasyk, a bardziej tu przydatny. Secundo. Mam inne niż G. Ostasz wyobrażenie publicystyki. Sugeruję nie uprawianie sterylizacji uczuć. Formy jednak obowiązują. Tertio — poddaję parę tematów do wykorzystania: a) czynniki warunkujące pełną integrację środowiska studenckiego w Rzeszowie; b) specyfika, warunki, trudności; c) kulturotwórcza rola, możliwości, nadzieje; d) kształtowanie tradycji — wybór wzorów, kierunki światła domiego działania.

Proponuję, aby z równą dotychczasowej szczerością intencji, w nich się zbrały poważnie pióra. Jest to propozycja na serio. Dedykacja czytelnika: z myślą o dobrej robocie.

ZBIGNIEW WOLF

Skoro już mówimy o „młodości” rzeszowskiego ośrodka akademickiego, to warto podkreślić, że przy różnych okazjach przedstawiciele studentów powołują się na brak tradycji akademickich w Rzeszowie, dopatrując się w tym przyczyn wszelkich niedomogów w wewnętrznym życiu środowiska studenckiego. Z drugiej strony przedstawiciele kadry naukowo-dydaktycznej, zwłaszcza z Wyższej Szkoły Inżynierskiej, podkreślają, że młoda uczelnia nowego typu musi zerwać z pewnymi tradycjami — jak to swego czasu na naszych łamach stwierdził jeden z profesorów — „uczelnia obrosła mchem tradycjonalizmu”. Sądźmy, że to jest istotne zagadnienie, nie chodzi bowiem tylko o zmiany w programie i metodach nauczania, lecz także o dostosowanie do wymogów współczesności procesu wychowawczego. Tzw. specyfika środowiska studenckiego nie w każdym wypadku jest godna utrwalania.

E. Dzigana. Ukaże się kilka pozycji poświęconych działaczom rewolucyjnym i dowódcom wojskowym — S. Łazo, W. Bluecherowi, M. Frunzemu, P. Postyszewowi i innym. E. Keosjan pracuje nad nową wersją głośnego filmu niemieckiego „Czerwone diabły” — o młodych bohaterach wojny domowej.

Do okresu ostatniej wojny nawiązały filmy „Nikt nie rodzi się żołnierzem” A. Stolpera wg K. Simonowa, „Szosa wołokołamska” reż. M. Biegalińska wg A. Beka. W tym roku podjęta zostanie realizacja wielkiego filmu „Wyzwolenie Europy”.

Z tematów współczesnych warto zasygnalizować nowy film Sergiusza Gierasimowa „Dziennikarz” (pierwsza część została już ukończona). Reż. Michałkow — Konczałowski pracuje nad utworem pt. „Rok spokojnego słońca”. W. Basow — nad filmem przygodowo-

kryminalnym „Nie ma prawa być sobą”. A oto kilka pozycji realizowanych w oparciu o utwory klasyki literackiej. Reżyser S. Bondarczuk ukończył — po kilku latach zdjęć — cztery serie „Wojny i pokoju” wg Lwa Tołstoja. A. Zarchi kontynuuje zdjęcia do „Anny Kareniny”, I. Chejfic sfilmował opowiadanie Czechowa „Jonczy” („W mieście S...”), B. Baboczkina adaptuje „Letników” Gorkiego, a St. Rostocki — „Bohatera naszych czasów” Lerontowa.

Z filmów dokumentalnych warto zasygnalizować utwór I. Kopalina o dniu dzisiejszym ZSRR „Kraj ojczysty”, Sergiusza Obrazcowa i J. Greka — „Losy ludzkie”. Dokumentaliści lotewscy pod kierunkiem reż. U. Brauna przygotowują film, w którym ukażą szeroką panoramę życia ludzi radzieckich różnych narodowości.

Skoro już mówimy o podejściu młodzieży do nauki, to warto wyjaśnić pewne nieporozumienie, a mianowicie: często ocenia się rzeszowskich studentów według wysoce nieprecyzyjnego kryterium zaangażowania w życie środowiska. Otóż studenci są po to studentami, aby w pierwszym rzędzie zdobywać wiedzę. Ale uczelnia ma także przygotowywać młodzież do życia w społeczeństwie; w tym właśnie aspekcie należy chyba opracować program pracy społecznej na rzecz środowiska, program, który przeciwdziała swego rodzaju wyizolowaniu się studentów, a równocześnie nie zaciąży na wynikach w nauce.

W ostatnich latach sporo pisaliśmy o tych zagadnieniach przy okazji rekrutacji na studia. Skoro są łuki przed bramami szkół wyższych, to dlaczego progi uczelni przekracza młodzież, która — jak mówią jedni — nie jest przygotowana, bądź — jak twierdzą inni — nie chce solidnie pracować? Warto zwrócić uwagę na kapitalne zjawisko: ostatnio wydatnie obniżył się wiek studentów studiów dla pracujących, co by wskazywało, że młodzież, której uprzednio nie przyjęto na uczelnie stacjonarne, lub nie stawiała się przed komisje egzaminacyjne, chce zdobyć wykształcenie, decydując się na bardzo trudną drogę łączenia studiów z pracą zawodową.

Wylania się kwestia składu socjalnego studium młodzieży; na studiach dla pracujących przeważa młodzież pochodzenia robotniczego i chłopskiego, której na uczelniach stacjonarnych jest proporcjonalnie mniej. Sądźmy, że ten problem wart jest publicznego omówienia, z uwzględnieniem społecznych, ekonomicznych i psychologicznych bodźców warunkujących wybór drogi życiowej po ukończeniu szkoły średniej przez młodzież z różnych środowisk.

## Zdarzenia tygodnia

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna oraz Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych w Rzeszowie przesłały do podległych placówek regulaminy konkursu pod hasłem „Książka w służbie socjalizmu i pokoju”, ogłoszonego z okazji 50 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, CRZZ i ZG TPPR.

Celem współzawodnictwa jest zwiększenie udziału bibliotek w kształtowaniu i zaspokajaniu potrzeb ideowych i kulturalnych społeczeństwa polskiego.

Uchwałą Prezydium PRN w Rzeszowie Miejski Dom Kultury w Tyczynie przemianowany został na Powiatowy Dom Kultury. Obejmuje on działalnością instruktazowo-metodyczną placówki k.o. z terenu powiatu rzeszowskiego.

27 stycznia br. w WDK odbyło się szkolenie kierowników klubów i świetlic z terenu Rzeszowa. Seminarium poświęcone było udziałowi tych placówek w obchodach 25 rocznicy powstania Polskiej Partii Robotniczej i 50 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej.

Na Wojewódzkiej Scenie Amatora w Rzeszowie (sala WDK) wystąpił dziś, tj. w sobotę zdobywca I miejsca na centralnym przeglądzie związkowych teatrów dramatycznych — zespół teatralny ZDK Huty „Stalowa Wola”. Stalowlowski zespół wystawi prezentowaną na przeglądzie sztukę wg R. Bratnego „Kolumbowie — Rocznik 20”.

Okręgowy Zespół Metodyczno-Programowy w porozumieniu z Wydziałem Kultury Prez. WRN zorganizował w dniach 23-25 stycznia seminarium dla nauczycieli fortepianu z państwowych szkół muzycznych, państwowych i społecznych ognisk muzycznych.

Celem szkolenia było pogłębienie znajomości literatury fachowej oraz omówienie problemów metodycznych.

W ubiegłym tygodniu odbyło się posiedzenie komisji kultury ZW ZMW, poświęcone zatwierdzeniu planu pracy na I półrocze br. oraz omówieniu przygotowań do plenum ZW.

W lutym zgodnie z planem komisja przeprowadzi w każdym powiecie ocenę działalności kulturalno-oświatowej na wsi z uwzględnieniem pomocy rad narodowych i resortu kultury i oświaty.

W dniach 15 do 21 stycznia w lokalu Technikum Mieczarskiego w Rzeszowie czynna była wystawa prac plastyka amatora, pracownika Zakładów Mieczarskich, Jana Kazneckiego.

Wystawa prac rzeszowskiego Nikifora wzbudziła duże zainteresowanie. Liczne wpisy do księgi pamiątkowej świadczą, że ta oryginalna twórczość znajduje uznanie.

W dniu 26 stycznia w WDK odbyła się narada z udziałem przedstawicieli organizacji społecznych i placówek kulturalnych, poświęcona omówieniu działalności WDK na rok bieżący. Podczas spotkania powołano radę społeczną WDK.



„Mocne uderzenie” przedszkolaka.

Fot. M. KOPEĆ